

1908

1909

1910

1911

1912

1913

1914

1915

1916

1917

1918

1919

1920

1921

1922

1923

1924

1925

1926

1927

1928

1929

1930

1931

1932

1933

1934

1935

1936

1937

1938

1939

1940

1941

1942

1943

1944

1945

1946

1947

1948

1949

1950

1951

1952

1953

1954

1955

1956

1957

1958

1959

1960

1961

1962

1963

1964

1965

1966

1967

1968

1969

1970

1971

1972

1973

1974

1975

1976

1977

1978

1979

1980

1981

1982

1983

1984

1985

1986

1987

1988

1989

1990

1991

1992

1993

1994

1995

1996

1997

1998

1999

2000

2001

2002

2003

2004

2005

2006

2007

2008

2009

2010

2011

2012

2013

2014

2015

2016

2017

2018

2019

2020

2021

2022

2023

2024

2025

2026

2027

2028

2029

2030

2031

2032

2033

2034

2035

2036

2037

2038

2039

2040

2041

2042

2043

2044

2045

2046

2047

2048

2049

2050

2051

2052

2053

2054

2055

2056

2057

2058

2059

2060

2061

2062

2063

2064

2065

2066

2067

2068

2069

2070

2071

2072

2073

2074

2075

2076

2077

2078

2079

2080

2081

2082

2083

2084

2085

2086

2087

2088

2089

2090

2091

2092

2093

2094

2095

2096

2097

2098

2099

2100

2101

2102

2103

2104

2105

2106

2107

2108

2109

2110

2111

2112

2113

2114

2115

2116

2117

2118

2119

2120

2121

2122

2123

2124

2125

2126

2127

2128

2129

2130

2131

2132

2133

2134

2135

2136

2137

2138

2139

2140

2141

2142

2143

2144

2145

2146

2147

2148

2149

2150

2151

2152

2153

2154

2155

2156

2157

2158

2159

2160

2161

2162

2163

2164

2165

2166

2167

2168

2169

2170

2171

2172

2173

2174

2175

2176

2177

2178

2179

2180

2181

2182

2183

2184

2185

2186

2187

2188

2189

2190

2191

2192

2193

2194

2195

2196

2197

2198

2199

2200

2201

2202

2203

2204

2205

2206

2207

2208

2209

2210

2211

2212

2213

2214

2215

2216

2217

2218

2219

2220

2221

2222

2223

2224

2225

197930

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . (52 tomy) rs. 10
Półrocznie (26 tomów) „ 5
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50
Za odnośzenie do domu 15 kop. kw.

Rocznie . . (52 tomy) rs. 12
Półrocznie . (26 tomów) „ 6
Kwartalnie . (13 tomów) „ 3

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . . rs. 6 kop —
Półrocznie . (za 26 tomów) . . . „ 3 „ —
Kwartalnie . (za 13 tomów) . . . „ 1 „ 50
Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski



Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Nowy-Swiat 47.—Telefonu 1670
we Lwowie Plac Maryacki 1. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Swiat 47

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH
№ 283.

CZARNA KREW

(„A FEKETE VÉR.”)

POWIEŚĆ

MAURycego JÓKAJA

przełożona przez

B. JAROSZEWSKĄ.



Jókaj

TOM II.

Cena 40 kop.

W pren. 30 $\frac{1}{2}$ kop.

WARSZAWA
Redakcyja i Administracyja
47. Nowy Świat 47.

—
1903.



CZARNA KREW.

Maurycy Jókai.

1896.

Czarna krew

(„A FEKETE VÉR”).

POWIEŚĆ

PRZEŁOŻONA Z ORYGINALU WĘGIERSKIEGO
Z UPOWAŻNIENIA AUTORA

przez

B. JAROSZEWSKĄ.

TOM II.

WARSZAWA

DRUKARNIA

A. T. JEZIERSKIEGO

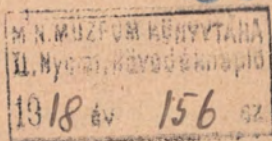
47. Nowy - Świat 47.

Thing h.
741 m

Дозволено Цензурою.
Варшава 22 Мая 1903 года.



197.930



ROZDZIAŁ I.

Posiew truczny.

Szymon Lenke, pod wpływem pierwszej furyi, opuszczając pałac Bárdy'ch — gdzie pamiętajmy, iż było nie tylko prywatne jego mieszkanie dotychczas, ale i urzędowe biuro — oprócz żony, nikogo więcej z sobą nie zabrał, i nawet ani szwajcarowi, ani kamerdynierowi, słowem nikomu nie powiedział, dokąd się udaje taką późną nocą.

Pędził przed siebie naoślep, jak zraniony odynieć.

Całe szczęście, że czuwało nad nim oko dzielnie pojmującego swoje zadanie dziennikarza, który zmiarkowawszy, co się święci, t. j. że pewien meteor spaść zamierza z zajmowanego dotąd stanowiska w rodzinie, popędził za uchodzącą parą małżonków i dogonił ich na ulicy.

Powiedzieli mu, że przenocują w hotelu i polecili, ażeby teraz wrócił do pałacu, po skończeniu zaś całej zabawy, ażeby wstąpił do nich, zdać szczegółową sprawę ze wszystkiego, co tam widział i słyszał.

Pan Ollósi był wiernym zausznikiem barona Szymona.

Odprowadził ich Ekszelencye, trzęsąc się z oburzenia nad upokorzeniem, jakiego doznały, do samego hotelu, tam wyręczył ich w zaalarmowaniu służby, kazał im dać dwa najpiękniejsze apartamenta, sam wszystkiego dopilnował, pokojówce polecił zaparzyć dla jasnej pani kilka szklanek kwiatu lipowego, tudzież przygotować zimne okłady na głowę, ponieważ cierpi na silną migrenę; kelnerowi zaś kazał zanieść do pokoju jasnego pana samowar dymiący oraz butelkę najmocniejszego rumu, gdyż mając dużo zajęcia, pewno całą noc na pisaniu spędzi i nie będzie miał czasu na spoczynek się udać.

W taki sposób wszystko załatwiwszy, popędził pan Ollósi nie do pałacu, jak mu polecono, lecz prosto do drukarni. Tam machnął od ręki artykuł wstępny do jutrzejszego rannego numeru swojej gazety, gdzie, rzecz prosta, w umiętnie dyplomatyczny sposób przedstawił sensacyjną nowinę powrotu hrabiego, następnie zaś, któżby uwierzył? wierszem skreślił wcale udatną satyrę, która nazajutrz miała się znów niepojętym jakimś sposobem znaleźć w kieszeni, lub w kapeluszu barona...

Któż bowiem inny miał pisywać paszkwile na jego Ekszelencyę, jeżeli nie główny kierownik gazety, będącej jego własnym, subwencyonowanym organem?

Sprawny szpieg potrafi z jednakową zręcznością zwijać się i w tył i naprzód, jak padalec, o którym wskutek tego lud prosty myśli, że ma dwie głowy: jedną na szyi, a drugą — tam, gdzie ogon.

Aranka, mówiąc, że jej niedobrze, zajęła natychmiast dla siebie jeden z pokojów i na spoczynek

się udała. Szymon został sam jeden w sąsiednim numerze, nakazawszy służącemu, aby był gotów do posługi na każde zadzwonienie.

Schwycił za pióro i usiadł przy biurku, aby napisać zawiadomienie o ostatnich wypadkach do gubernatora, do jego zastępcy, tudzież do ministra.

Ale daremnie się pocił, daremnie mózg wysilał, był dziwnie oszołomiony; poprostu brakowało mu wyrazów, nie wiedział, jak rzecz przedstawić i od czego zacząć?

Obok niego niepewnem, chwiejnem światłem płonął rum, zapalony w filiżance od herbaty. Błękitnawo-zielonawe jego blaski rzucały na twarz jego jakieś smugi trupiej, czy upiorowatej barwy; wyglądał, jak umarły, ruszający się bezwiednie, jedynie za impulsem prądów galwanicznych.

W duszy jego kotłował się jad: pod czaszką przewijały się widma potworne, jedno drugie spędzając.

Bo jakże przykrego rozczarowania padł dziś ofiarą!

Już taki był pewny, że wszystkie dobra Zoltana Bárdy przejdą na jego własność, a teraz oto — ni ztąd, ni zowąd, narwańcowi temu zwrócono wolność, uznając, że był skazany niewinnie. Ciekawa rzecz, kto też to tak fuszeruje tam, w wyższych sferach?

Przytem — jakież oburzające zachowanie było niespodziewanego tego przybysza względem niego, tak wysokiego przecież urzędnika! Najpierw — z sobie tylko właściwą, impertynencką arogancją, udawał, że go wcale nie dostrzega, a potem bezczelnem lekceważeniem śmiał go zniewążyć w obecności mnóstwa osób obcych, z których, o wstydzie! nikt się nie znalazł na tyle honorowy i lojalny, ażeby

stanać w jego obronie. Wreszcie—jeżeli już hrabia posiadał taki osobliwszy talent imponowania każdemu samą postawą swoją i ułożeniem, że nikt nie miał odwagi przeciwko niemu słowem, ni ruchem wystąpić, to gdybyż przynajmniej byli małoduszni podwładni razem ze swoim naczelnikiem bal opuścili, zostawili hrabiego bez świty, w rzęsiście oświetlonych jego salonach! Ale gdzieżtam! Wszyscy pozostali na miejscu, winszując mu szczęśliwego powrotu do domu, spijając jego wina i tańcząc w takt jego piosenek!

Jak się na nich zemścić?

Ciskał się, rzucał w zamyśleniu, nakoniec zerwał się i wielkimi krokami tam i napowrót przemierzać zaczął pokój.

Rozdrażnienie jego potęgowała jeszcze jedna okoliczność, napozór niby małoznaczna, w praktyce jednak istotnie dokuczliwa. Włożył on mianowicie na dzisiejszą uroczystość zupełnie nowe lakierki, które go niemiłosiernie w odciski urażały. Zadzwoził na kelnera, kazał sobie przynieść wygodne pantofle, a lakierki zdjął i oddał służącemu, z poleceniem, ażeby je oczyścił na jutro.

W pantoflach przynajmniej lżej mu było spacerować po numerze.

Znów rozpoczął swoje rozmyślanie od punktu, na którym je przerwał. Na kim wyrzucić zemstę, i w jaki sposób?

Bo czuł, że zemsta potrzebna mu jest do zdrowia.

W jego to pomysłowej mózgownicy zrodził się praktyczny pomysł, ażeby żandarmom dawać pewne wynagrodzenia za każdego pochwyczonego delinkwenta; wysokość tego wynagrodzenia ustosunkowana była do rodzaju kary, do jakiej kwalifikował się podsądny. Za

dostawienie takiego, który miał być skazany na roczne, lub mniej niż jeden rok trwające więzienie — dostawał żandarm dwa reńskie, za każdy rok więcej — dodawano mu po trzy guldeny. Jeżeli się któremu trafiło, że przyprowadził takiego przestępcę, którego wina na śmierć zasługiwała, wówczas dostawał żandarm aż sześćdziesiąt reńskich.

Można sobie wyobrazić, jak świetne rezultaty wywołał taki system. Przez pierwsze zaraz trzy miesiące po wprowadzeniu go w życie instytucja policyi miejscowej dokonała trzystu czterdziestu czterech tysięcy dziewięciuset dziewięćdziesięciu aresztowań na terytorium państwa węgierskiego. Rzecz prosta, że w tej liczbie znalazło się dużo plew, która odpadła; ale jednak i plennego ziarna pozostała ilość okazała.

Biedny Szymon popadł w taką melancholię, że chętnie byłby kazał wyłapać całe to piękne towarzystwo, które się teraz tak ochoczo zabawiało w pałacu Bárdy'ch i podał wszystkich za kandydatów do nagrody po „sześćdziesiąt reńskich” od sztuki dla dostawcy.

Gdy o Lebegucie pomyślał, to zdawało mu się, że jego najgorzej ze wszystkich nienawidzi, gdy pomyślał o muzykancie, na niego znów najgorszym gniewem kipiał. Już to wogóle znanym był, jako zaciekle prześladowca cyganów. Wszyscy policjanci, strzegący porządku publicznego, mieli wydany sobie rozkaz, ażeby gdziekolwiek przypadek do rąk im napędzi cygana, czy to piechotą na drodze, czy na wozie, czy też choćby nawet i pod namiotem, żeby go okuwali w żelaza, wtrącali do ciupy, porządnie przez jakiś czas wygłodzili, a w końcu, puszczając na wolność, jeszcze wsypali mu pewną ilość plag doraźnych, aby niezbyt prędko o przygodzie zapo-

mniał. Tych cyganów zaś, którzy z powołania oddawali się muzyce, kazał zamykać do domów roboczych: niechaj lepiej bliżnim ubrania, albo buty szyją, zamiast im uszy rozdzierać swoim rzępo-
leniem!

I oto taki cygan ośmiela się jeszcze występować z jakąś pyszałkowatą, umysły podniecającą deklamacją, wobec śmietanki towarzystwa, zebranej w salonach jego Ekscelencyi! Zawraca damom głowy aż do tego stopnia, że w zapomnieniu całusami obdarzają opalone jego lica!

Ah! że też to nie każdy kraj posiada dalsze osady w innych częściach świata, ażeby tam bezp-
wrotnie mógł zsyłać swoich przestępców!

Było już około godziny trzeciej po północy gdy wpadł do hotelu pan Ollósi, prosto z pałacu. Ledwie usta zdążył otrzeć od kolacyi, która się jednak bynajmniej jeszcze nie skończyła. Podają dopiero dziesiątą potrawę, a podobno ma ich jeszcze być jakaś znaczna ilość.

Włosy powstawały na głowie od tego, co opo-
wiadał.

Najpierw—taka uczta! Niesłychane rzeczy, że-
by takie brewerye wyprawiać po nocy. Wprawdzie we własnym pałacu, ale przecież nie we własnem mieście!

A jak piją przytem, jak hałasują! Pan Lebe-
gut ciągle śpiewa rozmaite węgierskie piosenki, cy-
gan mu przygrywa, a on je wyśpiewuje ze słuchu,
obydwa wskazujące palce trzymając podniesione
w górę, jak Chińczyk przed pagodą.

Lebegut śpiewa!

I w dodatku żąda od cygana, aby go uczył za-
kazanych pieśni!

Jest to bezczelność, przechodząca wszelkie pojęcie!....

— A cóż robi naczelnik żandarmeryi?

— Siedzi razem z innymi i zajada. Przyszedł, zwabiony muzyką i śpiewami, posadzili go za stołem i nie chcą puścić przed skończeniem uczty. Właśnie przed chwilą wniósł toast za zdrowie baronowej Anny, mianując ją „matką Gracchów.”

Szymon zaśmiał się żółciowo, i z wielkiej irytacji tak fikał nogami, że luźne pantofle z nóg mu zeskoczyły i oparły się aż o sufit.

— A to niegodziwcy! renegaty! Godni są nocy świętego Bartłomieja! Nieszporów Sycylijskich! Czekajcie. Pozmiatam ja was niedługo na swoje podwórko.

Ale naraz, zastanowiwszy się, uderzył baron Szymon w inny ton. Zaczął przed reporterem udawać zimną krew, a tylko sobie w duchu powtarzał na pociechę znane przysłowie niemieckie: „*Geduld bringt Rosen—Geduld bringt Rosen.*”

Niedługo odprawił pana Ollósi, mówiąc, że już czas spać, że się położy.

Wypił do herbaty całą butelkę rumu, dzięki czemu istotnie, ledwie głowę przytknął do poduszki, opanowała go bezwładność, i nie tyle sen, jak raczej jakieś oszołomienie pamięci i woli.

Nazajutrz rano obudził się z rwącym bólem głowy. W ustach miał taki smak, jakby się najadł galasu i popił obficie ałunem.

Zaczął się ubierać i zadzwonił na kelnera, aby mu przyniósł do czyszczenia oddane lakierki. Jedną nogę ubrał bez przeszkody, ale na drugą trzewik żadną miarą wejść nie chciał. Zajrzawszy do środka, znalazł w nim zwitek papieru.

Wyjął go, rozwinął — i ujrzał w całej urodzie, pięknie wydrukowany, świeżo upieczony paszkwil, z pełnem humoru zacięciem opisujący zdarzenia wczorajszego wieczoru.

„Pośpiech co innego, czary co innego” — znane u nas przysłowie.

Żeby ktoś z tych, którzy wczoraj obecni byli na hucznem przyjęciu w pałacu, miał czas opisać wszystko, co widział, w udatnych „aleksandrynach”, złożyć to w drukarni, odbić — i jeszcze przed obudzeniem się jego Ekscelencyi wsunąć mu tę elukubrację do ślicznie wyglansowanego trzewika, no, żeby tego dokonać, trzeba chyba być samym panem Bosco!

Baron Szymon najpierw osłupiał. Następnie, gdy osłupienie minęło, rzucił się, jak dzik zramiony, ku drzwiom, w zamiarze urządzenia na poczekaniu śledztwa wśród służby hotelowej, dla wykrycia — póki tropy świeże — kto miał do czynienia z jego lakierkami. Zmiarkował jednak w porę, że jak na swoją godność, nie dosyć imponująco wyglądałby na korytarzu w jednej skarpetce i jednym trzewiku, więc cofnął się roztropnie, a przez czas kompletowania stroju wróciła mu też zimna krew i panowanie nad sobą. Przypomniawszy sobie trafną maksymę, że daremna rzecz polować na wróble z bębniem; lepiej nie robić hałasu, udawać, że się o niczem nie wie, nic nie pamięta, w zasadzkę daleko łatwiej złapać wszelkiego ptaszka. Zdrajca niezawodnie gdzieś niedaleko znajdować się musi.

Zapukano do drzwi, wszedł pan Ollósi.

Baron Szymon przybrał taki obojętny wyraz twarzy, jakgdyby oczu jego nigdy nie obraził widok żadnego na świecie paszkwila.

Ale pan Ollósi także nie był osłem, ażeby się

miał dać ująć w pułapkę; nie czekał, od czego Ekscelencyja rozpocznie rozmowę, lecz sam, zadyszany od prędkiego biegu, jednym tchem wyrzucił sensacyjną wiadomość, z którą tu właśnie przybywał.

— Ekscelencyo! *Durchlaucht* przyjechał dzisiejszej nocy!

Dywersya ta okazała się znakomitym strategicznym obrotem. Anonim usunięty został na dalszy plan wobec tej nowiny. Dla Szymona, zwłaszcza w dniu dzisiejszym, przyjazd wielkorządcy był wypadkiem nad wszelki wyraz pożądanym.

— Jakto? Czyż być może!

— Ależ napewno, dowiedziałem się o tem od jego własnego lokaja. *Durchlaucht* bowiem przybywszy, wyprawił służącego z listem do waszej Ekscelencyi, naturalnie do pałacu Bárdy'ch. Tam jednakowoż nikt nie umiał chłopaka poinformować, gdzie wasza Ekscelencyja raczyła nocą przenieść swoje biuro, a ja, chociaż byłem przy tem obecny, zatrzymałem język za zębami i nie dałem mu żadnych objaśnień.

— To mądrze uczyniłeś, mój Ollósi. Nie trzeba rozgłaszać po mieście, że nocowałem w hotelu...

— A co, mój nos! nie zawodzi nigdy! — rzekł tryumfalnie Ollósi, z uznaniem dotykając się końcem palca nieomylnego swojego organu powonienia.

— Mój panie, jeżeli pan masz węch taki delikatny — rzekł po chwili, niby żartobliwie baron Szymon — to może odgadniesz po zapachu, czyich rąk i czyjego mózgu wykwitem jest ta piękna roślina, rozwinięta wśród ubiegłej nocy?

To mówiąc, podał Ollósi'emu wierszowaną satyrę i baczenie z pod oka obserwować go zaczął, pod-

czas gdy reporter, z objawami silnego zaciekawienia, zagłębił się w czytaniu.

Twarz Ollósi'ego po każdej strofie przybierała wyraz coraz głębszego oburzenia. Gdy skończył, aż ręce mu się zatrzęsły od lojalnej zgrozy. Drżącym głosem wyjąkał:

— Ależ to infamia!

Baron Szymon ciągle udawał filozofa, którego takie drobiazgi nic obchodzić nie mogą.

— Oh, nie przypuszczaj pan tylko, że jestem rozgniewany. Przeciwnie, lubię ludzi z talentem, a trzeba przyznać, że jest to dosyć zgrabnie napisana i nawet dowcipna ramota. Chciałbym wiedzieć jedynie, kto mógł zdążyć, jak jaki czarownik, być tam, napisać to, wydrukować i do mojego własnego buta mi wsunąć? Mój panie, pan masz taki nos nadzwyczajny, powinienes coś zwietrzyć.

— Ekscelencyo... — wyjąkał z wahaniem Ollósi, zniżając głos do szeptu — ja coś wietrzę. Wietrzę... ale — nie mam odwagi tego wypowiedzieć...

— No? Cóż takiego? Śmiało!

— Jeszcze usłyszą.

— Kto ma usłyszeć?

Ollósi w miejsce odpowiedzi, wskazał wielkim palcem na drzwi za swojemi plecami, wiodące do numeru, w którym spała Aranka.

— Ah!... Pan przypuszczasz, że to moja żona?...

Ollósi szeptał tak cicho, iż trudno go było dosłyszeć.

— Za czasów karyery artystycznej na wszystkich swoich kolegów i koleżanki pisywała paszkwile. Prawdziwie genialne perełki humoru i talentu...

— Aléż to chyba niepodobieństwo. Wszak razem ze mną tutaj przysłała. Nie wychodziła ani na chwilę. Całą noc cierpiała na szaloną migrenę.

— Ekscelencyo, pozwól sobie powiedzieć, że kobiety, właśnie cierpiące na migrenę, z największem upodobaniem oddają się pisaniu satyrycznych wierszy; jest to dla nich rodzaj kuracyi, uśmierzającej nerwy.

— Ale ja powtarzam panu, że nie wychodziła nigdzie. Jakimże sposobem mogłyby się te wiersze dostać do drukarni, a ztamtąd znów tutaj na powrót?

— Na to mogę waszej Ekscelencyi udzielić zupełnie pozytywnej odpowiedzi. Gdy szedłem tutaj w nocy, dla zdania sprawy z przebiegu zabawy w pałacu Bárdy'ch, zauważyłem, że jedno z okien w hotelu na pierwszym piętrze uchyla się ostrożnie, a potem zaraz prędko zostało zamknięte. Pod oknem, na chodniku, mężczyzna jakiś schylił się tak, jakgdyby coś podnosił z ziemi, ujrzawszy mnie zaś, szybko uciekł.

— Więc przypuściwszy nawet.... ale kto to wydrukował? i gdzie? Przecież nasza drukarnia dniem i nocą zostaje pod strażą.

— Zechciej sobie przypomnieć, Ekscelencyo, że w kancelaryi pana naczelnika komitatu znajduje się także mała podręczna prasa, służąca do wytłaczania rozporządzeń urzędowych.

— Jakto, czy pan sądzisz, że i Lebegut jest w to zamieszany?

— Cóż znowu! Nie on sam, ale może ktoś z jego podwładnych.

— Dobrze. Miej pan oczy i uszy otwarte na

każdy szczegół w tym kierunku, ale spostrzeżeń swoich nie udzielał nikomu.

Przebiegły skrobipiórek, pokazuje się, dobrze znał słabostki barona Szymona. Przeniknął, że jest on zazdrosnym o swoją żonę, pomimo, że jej nigdy nie kochał. Ale właśnie dlatego chodziło mu zawsze i chodzi wyłącznie o jej wpływy, które czuł, że zaczynają się jak gdyby odwracać od niego. W swojej zaciekłości gotów jest ją posądzać o to drażnienie go nasyłaniem bezimiennych satyr, a co za tem idzie, i o wiele innych wybryków. Hrabia Zoltan powrócił... Wszakże niegdyś panował między nimi dwójgiem gorący afekt miłosny: kto wie— a nuż się teraz znowu, jak feniks z popiołów rozbudzi?... Bardziej jednak jeszcze nad to skłonny był do podejrzewania Lebeguta o kopanie pod nim dołków. On człowieka tego ubiegł w pozyskaniu awansu, człowiek ten przeto musiał być jego naturalnym wrogiem.

Takim to zręcznym manewrem udało się panu Ollósiemu wprowadzić swojego potężnego protektora na zupełnie fałszywe manowce, a przytem jeszcze głębiej wkraść się w jego łaski, rozdmuchując zawiść jego przeciwko rywalowi, co oprócz praktycznych korzyści, dostarczyć mu mogło, jako dziennikarzowi, mnóstwo materiału do obserwacji, studyów i wrażeń.

„*Panem et circenses.*”

Protektorzy jego dają mu *panem—circenses* zaś on im dostarcza przez wdzięczność.

Aranka spoczywała jeszcze w głębokim śnie pogrążona, po migrenie, jaka ją przez całą noc trapiła, gdy baron Szymon, wyświeżony pięknie, opuścił hotel, dla złożenia czołobitności wielkorządcy „Kronlandu.”

Oczekiwano go tam.

Gdy przyszedł, wprowadzono go natychmiast do najpoufniejszego gabinetu.

Baron Szymon odrazu rozpoczął rozmowę od pełnego emfaticznej zjadliwości sprawozdania z wypadków ubiegłego wieczoru; nie żałował plastyki stylu do odmalowania, jak skandalicznie zachowywała się cała, najwyższa biurokracya miejscowa od chwili powrotu hrabiego Zoltana, przez całą noc, aż do białego rana, niepowstrzymana nawet tem, że on sam, przecież główny amfitryon zebranych gości, opuścił dom, w którym się działy takie bezceństwa. Największy nacisk kładł na bezczelne, ujmę zajmowanemu stanowisku przynoszące postępowanie Lebeguta, a także i kapitana policyi, który zamiast energiczną tamę położyć swawoli, razem ze wszystkimi się awanturował.

Durchlaucht jednakże wysłuchał wszystkiego z miłą fenomenalnie spokojną, co przy doniesieniach podobnej treści dotychczas nigdy jeszcze się nie zdarzało.

Szymon, zauważywszy to, zdziwił się niepomiernie.

Wielkorządca w sprawach takich nie zwykł był starać się o zimną krew.

— Najgorszy ze wszystkich to Lebegut — instygował jeszcze.

— Hm, hm—*Durchlaucht* pokręcił głową, jowiszowato namarszczając brew.—Ten *bonhomme*, pokazuje się, nie darmo tyle nosów dostawał co chwila od wyższej władzy; oto teraz znakomicie ma wyrobiony zmysł powonienia.

(Co?... Więc i Lebegut umie wietrzyć?)

— Wystaw sobie tylko, kochany baronie, że ten, tak naiwny z pozoru człowieczyna, zachowywał się wczoraj—według tego, co od ciebie słyszę—całkiem *correcte*, pomimo, że przecież znikąd jeszcze nie mógł otrzymać wskazówki, ażeby tak, nie inaczej postępował. Trzeba ci wiedzieć bowiem, że tam, „u góry”, postanowiono zupełnie zmienić dotychczasowy system postępowania z mieszkańcami tutejszego kraju. Urzędnikom wydane zostało wyraźne rozporządzenie, ażeby się starali „zamalgamować” z całym społeczeństwem węgierskiem, ażeby umieli sobie zjednać jego zaufanie i sympatyę, ażeby zawiązali z Węgrami jaknajściślejsze stosunki towarzyskie, ażeby bywali u nich, tańcowali z nimi, pili, krzyczeli, śpiewali i grali, jak im się żywnie podoba, słowem, nie tylko pozwalali im, ale razem z nimi sami robili to wszystko, co Węgrzy lubią, i do czego ich temperament, lub tradycya przywiązuje.

— Jakto? Czyżby nasz rząd miał zamiar ustąpić ich niedorzecznym roszczeniom?

— O tem niema mowy. Potrzeba nam tylko pozyskać ich wiarę dlatego, ażebyśmy mogli zrozumieć napewno ich nadzieje i dążności. Nawet na lodzie wzniesiony zamek łatwiej jest roznieść, gruntownie zbadawszy jego architekturę. Pomyśl pan, że doszliśmy do tego przekonania, iż nie tych trzysta czterdzieści jeden tysięcy dziewięćset dziewięćdziesięciu ludzi sieje rozruchy w narodzie, których nasi żandarmi powychwyтали i pod strażą trzymają, ale raczej tych *stu dwudziestu sześciu*, którzy tam, u nas, nazywani są obecnie *Umsturzpártci*!

— Czyż nie można tej drobnej garstki także zapakować tam, gdzie siedzą inni?

— Niepodobieństwo. Składają się oni bowiem z samych tylko książąt, hrabiów, baronów, marki-

zów, mających na swem czele Ostrzychomskiego księcia Prymasa, arcybiskupa królecsańskiego i wszystkich innych biskupów! Same dostojne, znakomite osobistości, którym niełatwo pętlę zarzucić. Niegdyś nazywano ich tutaj partją konserwatywną, strupieszalą w usługach dworu, i u progów dworu zmarowaną: dziś jest inaczej. Dziś oni w narodzie rej wodzić zaczynają i oni stają się tutaj najpopularniejszymi. Emigrantów już się dzisiaj nikt nie boi. Tylko na wspomnienie magnatów drgają białe pantalony na ścięgnach pana ministra. Teraz przeto, tam w „górze” wymyślono przeciwko temu nowy środek: mianowicie kontrminę podłożyć pod ten nowy багаż.

— Jaką kontrminę?

— Trzeba ich przelicytować: wydrzeć im pozyskaną popularność.

— Co? Zbyt trudno nam to będzie, nam, urzędnikom.

— Bynajmniej, tylko trzeba się umieć wziąć do rzeczy. Będziecie musieli ubierać się w narodowy strój węgierski, w kaszkiety z piórami koguciem, w dolmany, zdobne złocistym szamerunkiem, obcisłe spodnie węgierskie i buty z brzęczącymi ostrogami... Dopelniać kostyumu tego będzie krzywa szabla.

— Wyobrażam sobie Ottokara Lebeguta w takich spodniach obcisłych. Z temi jego nogami cienkimi, jak u pajaka!

— Od czegoż są zręczni krawcy, jeżeli nie od tego, ażeby odpowiedniem zastosowaniem swojej sztuki zamaskowywali rozmaite braki natury?

— No! Ręczyć można, że mieszkańcy Wielkiej Niedźwiedzicy na Niebie słyszeć będą chichot,

jaki wywoła na naszej planecie ta wielka maskarada...

— Tem lepiej. Dowiedziona jest rzeczą, że kto się śmieje, ten nie może być złym. Następnie trzeba, ażebyście się zapisywali do kasyn, klubów, resurs na członków zwyczajnych, żebyście uczęszczali do teatrów, na koncerty, żeby i żony wasze jaknajwięcej udzielały się towarzystwu, żeby należały do czynów publicznego miłosierdzia, a na balach na cele dobroczynne tańczyły, dopóki im tchu starczy. Cyganów, zwłaszcza trudniących się muzyką, faworyzować trzeba w najwyższym stopniu.

Baron Szymon załamał ręce.

— I wszystko to naprzód przewidział ten przewrotny Ottokar Lebegut i jego towarzysze!

— Tak, jak psy albo koty instynktownie przeczuwać umieją burzę. Widzisz więc, kochany baronie, że i ty powinieś był nie opuszczać pałacu Bárdy'ch, gdy powrócił do niego prawdziwy jego właściciel, lecz z zupełnie innego tonu grę swoją rozpocząć. Dlaczego nie rzuciłeś mu się na szyję z uniesieniem radości, czemu nie okryłeś go pocałunkami gorącemi, i za wszelką cenę nie zostałeś z nim razem w pałacu, skoro podczas jego *intercalare* tak gorliwie umiałeś w tym domu zastępować rolę swojego brata starszego?

— Nigdy! Było to dla mnie prostem niepodobieństwem, Ekscelencyo, zostawać pod jednym dachem z człowiekiem, który mi taki afront wyrządził. Znieważać się nie pozwalałam nikomu, nawet synowi mojej matki!

— W tym razie nie mogę ci, baronie, odmówić słuszności.

— Hrabia Bárdy śmiesznością mnie okrył wobec podwładnych mi urzędników.

— Hm. Prawda. Także też strzeliło mu do łba, żeby takiego wysokiego urzędnika posyłać do piwnicy po wino!

— Nie mogę nie żądać satysfakcyi za to!

— Bardzo słusznie. Nawet—jeżeli baron mnie chcesz zaszczyścić zaufaniem, żądając, abym ja się tem zajął...

— Jakto?... Wasza Wysokość bylażby istotnie do tego stopnia na mnie łaskawą?

— Ależ bezwątpienia. Ludzie naszej rangi są wprost obowiązani oddawać sobie wzajemnie podobne usługi. Więc rzecz ułożona: sprawę biorę w swoje ręce—sam z hrabią się załatwię. A teraz—na dzisiaj dość o tem. Gdzież się pan myślisz przeprowadzić, baronie? Masz już upatrzone jakie mieszkanie?

— Z tem nie taka łatwa sprawa. W naszym małym miasteczku trudno mi będzie znaleźć coś odpowiedniego.

— Weź moje mieszkanie. Wcale niezłe — zamiast żeby stało pustkami...

Szymon zdumiał się mocno.

— Miałoby stać pustkami?...

— Tak jest. Czy nie wspominałem panu jeszcze, że jutro po południu wyjeżdżam ztąd do moich dóbr w Czechach?

— Jakto!... Na zawsze?... Bez zamiaru powrotu?

— Oh, nigdy tutaj już nie wrócę. Albowiem, kochany baronie, nie mogę powiedzieć, ażebym nie lubił komedyi, ale tylko jako widz, obserwując ją z boku; do brania w niej udziału jednak, jako jeden z grających aktorów, nie mam najmniejszej ochoty. *Au revoir*, kochany baronie. A nie zapomnij pan zapisać swoją szanowną żoneczkę do damskiego towa-

rzystwa dobroczynności na członka fundatora. Na wszelkie koszty, jakie ztąd wynikną, będzie miała pod ręką odpowiedni kapitał do rozporządzenia.

Zegnając się z baronem Szymonem, już na samem odchodnem zapowiedział mu potężny wielko-rządca, że punkt o dwunastej w południe odwiedzi go—nie w jego biurze, ale tam, dokąd się przeniósł, w hotelu. Niechże o tej porze stara się być w domu, żeby go napewno zastał.

ROZDZIAŁ II.

Świetne zadosyćuczynienie.

Baron Szymon śpiesznie powrócił do hotelu.

W drodze dopiero przypomniał sobie, że na śmierć zapomniał przedstawić jego Wysokości skargi na najświeższy paszkwil, który mu tak zatrul pierwsze chwile dnia dzisiejszego.

Po paszkwilu przypomniał sobie swoją żonę.

Nie mógł się uwolnić od sęka, który mu zabił w głowę Ollósi.

W insynuacyi przebiegłego reportera nie widział Szymon nic nieprawdopodobnego.

Znając dobrze swoją żonę, wiedział, iż nie gardzi ona wieloma środkami, mogącemi jej dostarczyć jakiegokolwiek pikantnej rozrywki.

A cóż może być pikantniejszego nad drażnienie człowieka, który osiągnął już pewnego wyższego stanowiska, złośliwemi ukłóćiami urągliwych wierszy, a następnie obserwowanie, jak człowiek ten tam i napowrót daremnie biega, ogląda się na wszystkie strony, kipiąc gniewem, bezradny, przypominający mimowoli ofiarę gry towarzyskiej, zwanej „świstaw-

ka", w której osobnik, będący w kole, niewtajemniczony w zasadę gry, podmiecany śmiechem obecnych, rozpaczliwie szuka świstawki, odzywającej się ciągle po za nim, a przyczepionej do guzika u pęty jego własnego fraka, czego on się ani domyśla.

Przybywszy do hotelu, ledwo zdołał wejść do swego pokoju, tak pozostawiane były wszystkie drzwi kozkami, kuframi, tłomokami.

To Aranka kazała przynieść z pałacu Bárdy'ch całą swoją garderobę i każdą sztukę z osobna porozkładała na krzesłach, fotelach i kanapach tak, że literalnie ruszyć się nie było gdzie.

Co prawda, baron Szymon mógł się tego był spodziewać, bo przecież trudno było przypuszczać, aby się jego żona chciała pokazywać za dnia, w balowej sukni z wczorajszego rautu.

A niech sobie mówi, co kto chce, ale naszem zdaniem niema na świecie nic okropniejszego, jak wygląd pokoju, w którym dama rzeczy swoje pakuje lub rozpakowywa. Jeszcze do tego w podobnym stanie ducha będąc, w jakim Aranka dziś znajdować się musiała! Jest to coś gorszego jeszcze, niż rozbicie okrętu.

Szymon, przeczuwając dyszącą w powietrzu burzę, zręcznie zdołał ją uprzedzić.

— Już mamy mieszkanie, droga żono! — zawołał tryumfalnie. — Niezgorsze, nawet mogę powiedzieć — wcale niezłe. Nie wydobywaj tutaj wszystkich rzeczy, jutro będziemy się już mogli tam przeprowadzić, to odrazu, na miejscu je rozpakujesz.

Aranka miała głowę obwiązaną jedwabną chusteczką w szkocki deseń, ale tylko z tyłu, nad czołem zaś swobodnie bujały zwichrzone kędziorki jej czarnych włosów.

Wyglądała, jak przepyszna, klasycznie piękna Meduza.

— Ciekawa jestem, co ty nazywasz wcale niezłym mieszkaniem? — zapytała z gniewnym dąsem.

— Osiem pokoiów, z salonem i balkonem, wychodzącym na plac, ze stajnią, tudzież remizą. Do tego kompletne umeblowanie: w salonie garnitur i tapety z adamaszku, firanki, portyery z jedwabnej brokateli...

— Ależ to jest najwyraźniej mieszkanie gubernatora...

— Poznałaś z mojego opisu? Jutro się tam wprowadzimy.

— Oszalałeś pan?!—krzyknęła Aranka, chwytając się za głowę palcami, zakrzywionymi naksztalt orlich szponów. W tej chwili podobieństwo pięknej kobiety do Meduzy jeszcze bardziej wzrosło.—Czyż pan nie wiesz, jaką potworną plotkę świat ułożył na mój rachunek z powodu naszej znajomości z gubernatorem, a teraz, sakum-pakum, wprowadzać się chcesz do niego wraz ze mną?

Szymon z rękami w kieszeniach przypatrywał się Arance, a na ustach jego pojawił się cyniczny uśmiech.

„Doprawdy?—więc to nas jednak żenuje?...”

Myśli tej atoli nie wypowiedział głośno.

Bawiono się nim—i on też nawzajem zapragnął pobawić się kimś.

Nieraz mu się już udawało grać na temperamencie swojej żony, jak na klarynecie, a mało komu dana jest umiejętność zażywania nerwów kobiecych naksztalt instrumentu.

— Uspokój się, kochanie; z mieszkania tego

Durchlaucht dziś wieczór jeszcze prawdopodobnie ustąpi.

— Jakto, dla nas to uczyni?

— Nietylko, bo także i dlatego, że poróżniwszy się z ministeryum, porzuca stanowisko, jakie zajmował w kraju tutejszym, i przenosi się do Czech, do swoich włości.

— Czyż to być może?... *Durchlaucht* odjeżdża ztąd na zawsze?! — wyjąkała Aranka, wpadłszy w osłupienie.

A co? Już z innego tonu odezwał się klawirnet.

— Wyobraź sobie, rząd zamierza przeprowadzić na gruncie niniejszym szereg nowych zupełnie eksperymentów w sferze polityki, które w zasadzie swojej wiodąc do tego samego celu, do którego wiodły wszystkie poprzednie, jednakże środkami posługiwać się będą wręcz przeciwnemi tym, jakimi dotychczas manipulowano. Wszyscy urzędnicy zostaną wtrąceni w węgierskie kostyummy narodowe. Tylko sobie wystaw pana Lebeguta w stroju Balambéra. Kaszkiet z koguciem piórem, krzywa szabla, zielone spodnie ze sznurami, buty z ostrogami.

Ostatnim zwrotem udało mu się wywołać z klawirnetu coś nakształt śmiechu.

Istotnie, nawet Aranka nie mogła utrzymać powagi na myśl o tem, jak uciesznie będzie wyglądał poczciwy człowieczyna, przebrany za jednego z sześciu wodzów Arpada.

Kolosalnym żartownisiem musiał być ten, komu ten pomysł strzelił do głowy.

— Odtąd obowiązkiem naszym będzie brać udział we wszelkich zabawach i zebraniach publicznych, balach, rautach, koncertach — mówił dalej baron Szymon. — Musisz wstąpić do damskiego to-

warzystwa dobroczynności, jako fundatorka, i dobrze byłoby, ażebyś z właściwym ci talentem tak pokierowała rzeczy, aby ci powierzono stałe przewodnictwo obrad.

Propozycja ta wywołała nowe wrażenie.

Polechtana została nieograniczona ambicją Aranki.

— Będiesz miewała mowy, pełne zapału, a pamiętaj nikomu nie dać się prześcignąć w patryotyzmie.

Ot—to była właśnie jej utopia!

— Za to brutalne zaś lekceważenie, z jakim potraktował nas wczoraj hrabia Zoltan, dostanie mu się w udziale odwet, na jaki zasłużył. Popamięta on na zawsze swoje figle i dowcipy; kością w gardle mu staną, zadławi się nimi! *Durchlaucht* przyobiegał mi uroczyć, że sam się postara o świetne zadosyćuczynienie dla nas.

Na licach pięknej kobiety ukazał się teraz w całym majestacie gniew obrażonej królowej, połączone z wyrazem tryumfującej pychy.

Gwałtownym ruchem zdarła sobie z włosów chusteczkę i dumnie potrząsnawszy głową, rzuciła swoje bujne loki, niby rozhukany buhaj — grzywę.

— Oczekiwałam tego — szepnęła przez zaciśnięte zęby.

— *Durchlaucht* raczył zapowiedzieć mi, że zajdzie do nas dziś w południe.

— Tu? Do hotelu?

— A gdzieżby? *Pour prendre congé*. Jutro już odjeżdża.

Wiadomość ta wywołała nowe trele.

Aranka zaśmiała się, poskoczyła, jakby jej kto

ręką odjął ból głowy, gniew, żal, irytację. Zdawała się być wcieloną wesołością.

Hasło: „gość ma przybyć!” zatamowało wszelkie wybuchy złego humoru.

Zadzwoiła na pokojówkę, ażeby jej pomogła ubrać się i uprzątnąć w pokoju, gdy się ta jednak, nie wiedzieć dlaczego, opóźniała z przybyciem, Aran-ka, ułagodzona nie do poznania, sama usiadła przed zwierciadłem i własnoręcznie rozczesywać sobie zaczęła włosy.

Szymonowi pozwoliła — co się tylko w chwilach wyjątkowej łaski zdarzało — oddawać sobie liczne, drobne usługi, podawać flakony, słóiczki, szczoteczki, nawet zauważyła, że lepiej jest obejść się bez pokojówki, gdyż miała jeszcze coś do pomówienia z mężem.

— Ciekawa jestem, w jaki się też sposób zemści za nas na hrabi Zoltanie jaśnie oświecony książę?

— Trudno wiedzieć. Książę ma tyle sposobów! Wszystko tu zależy od skinienia jego palca. O ile mi się zdaje — tak przynajmniej sędzę, bo już raz wspominał coś o tem *Durchlaucht*, a dla hrabiego Bárdy byłoby to karą nie na żarty... — zostanie zesłany do Ozaslau. Tak jest; z pewnością, korzystając ze sposobności, użyje książę tego środka.

— Hm, prawda, że dla hrabiego byłaby to niespodzianka nielada. Zostać przeniesionym do ustronnej, małej miściny w Czechach. Ale czy nie są to złudne nadzieje? Jestże to możliwe?

— A czemużby nie? Jeżeli przesiedlono jednego z węgierskich powieściopisarzy do Budziszyna, dlaczegożby to nie miało być możliwe w zastosowaniu do węgierskiego magnata? A dodać trzeba, że powieściopisarz ów nic więcej nie zawinił

nad to, iż nie umiał twarzą swoją podobać się swojemu urzędowemu zwierzchnikowi.

— Przytem—jeżeliby się coś podobnego udało z hrabią, byłoby to nietylko świetną satysfakcją dla nas, ale nadto nader zręcznym ruchem pionka na szachownicy gry narodów.

— Muszę to nawet przypomnieć księciu, bo kto wie, czy nie zapomniał, już dawno nie rozmawialiśmy o tem.

— Czekaj, ty milcz dyplomatycznie, ja sama pomówię z nim o tem.

Aranka w zupełności odzyskała swoją zwykłą werwę, wesołość, ruszała się i mówiła tak, jak jej dyktował jej naturalny temperament. Cieszyło ją, że oto nastęcza się sposobność niespodziewanym ciosem dotknąć swego wroga. Istny *coup de Jarnac*¹⁾; ani się spostrzeże, kiedy zostanie ukłuty i pozbawiony równowagi. Szymon dopiero teraz uznał, że pora pokazać żonie paszkwil. Wydobyl go z kieszeni i położył przed nią na toalecie.

— Przyniosłem ci też coś, co cię pewno szczerze ubawi. Oto masz. Przeczytaj. „Raut u ich Ekscelencyj.” Istne malowidło *al fresco*. Dowcipu odmówić niepodobna.

Aranka wpinała sobie właśnie ozdobną kokardę we włosy; szerokie rękawy jej haftowanego szlafrocza zsunęły się z jej białych, niby z marmuru klasycznie wyrzeźbionych rąk, aż po ramiona. Rzuciwszy okiem na ozdobnie wydrukowaną satyrę, roześmiała się, i śmiejąc się tak, bacznie obserwo-

¹⁾ *Coup de Jarnac* nazywa się uderzenie, zadane w taki sposób, że fechtujący się podstawia szpadę nodze swego przeciwnika, przez co, raniąc go, jednocześnie go przewraca. Fortel ten wymyślił rycerz Jarnac.

wała odbicie twarzy Szymona w zwierciadle. Trudno opisać, jak szatańsko piękną była, gdy ustami wyrażając wybuch wesołości, w oczach koncentrowała całą swoją zdolność bacznej obserwacji.

— Nie potrzebuję tego czytać. Wszak jest to mój własny utwór.

Baron Szymon osłupiał.

Aranka zaś śmiała się w dalszym ciągu.

— Jakto, to pan jeszcze nie wyśledziłeś tego, że wszystkie te satyry i paszkwile na ciebie ja sama pisuję? Ależ tak jest i proszę wierzyć, że czynię to przez prostą i dobrze zrozumianą życzliwość. Człowiekowi do zdrowia konieczne jest potrzebną pewną dawką irytacji, inaczej gnuśnieje, niedołężnieje i gotów zatyć, jak wujcio Balambér.

Baronowi Lenke ostatecznie wszystko pokreśliło się w głowie. Jeżeli kiedykolwiek blizkim był pochwycenia nici, która doprowadziłaby go do odkrycia prawdy, teraz słowa Aranki zupełnie zbiły go z tropu. Bo że te przepyszne purpurowe usta nie na to były stworzone, ażeby mówić prawdę, o tem wiedział z doświadczenia.

Zbyt wiele temperamentu inkwizytorskiego miał w sobie, ażeby brał za dobrą monetę wyznanie takich pięknych, śmiejących się ust. Kto naprawdę winien, ten nawet na żarty do winy nie rad się przyznawać. Na prawdziwym złoczyńcy skóra za nadto cierpnie ze strachu, aby nie udawał świętego niewiniątka, gdy kto potrąci o jego dzieło: twarz mu się przedłuża, oczy podnosi ku niebu, odgrywa komedję oburzenia i gotów ronić łzy współczucia dla swoich ofiar. Zatem gdzieindziej tropić należy!

Baron Szymon przypomniał sobie, że pora czynić przygotowania do przyjęcia dostojnego go-

ścia. Kazał przywołać właściciela hotelu i udzielił mu zapisania w kronikach godnej wiadomości, że jasnie oświecony książę raczy w południe zaszczyścić hotel obecnością swoją, który to splendor powinien być przyjęty z należną czcią i odpowiedniem przygotowaniem. Kelnerzy niech się ubiorą we fraki i białe krawaty, sam właściciel hotelu także w pełnej paradzie oczekiwać ma na znakomitego męża w przedsionku, schody zaś i zwierciadła przystroić trzeba tujami, aspilistryami, palmami, tudzież kwitnącemi roślinami; ile zaś zbywających dywanów istnieje w hotelu, wszystkie powywieszać należy z balkonów i okien. Do numeru dla ozdoby stołu przynieść kazał paradny bukiet z georginij, tudzież butelkę zielonej chartreuse'y, gdyż jest to najulubieńszy likier księcia.

Punktualnie o dwunastej, właśnie dzwoniło w kościołach, zatoczył się przed bramę hotelu wspinały ekwipaż jasnie oświeconego pana.

Powitany został z wszelkiemi hołdami, należnemi jego randze.

Uszanowanie swoje, czyli pożegnalną wizytę złożył najpierw jej ekscelencyi.

Baron Szymon z dyskrecją pełną taktu zostawił ich we dwoje, sam usunąwszy się do swojego pokoju.

Durchlaucht mógł mieć rozmaite tajemne zlecenia; powierzał on jej zapewne doniosłą rolę polityczną na przyszłość, objaśniał, w jaki sposób i ku jakim celom mają być skierowane obroty kapitału, który jej ręką powierza na kosztą reprezentowania wielkiej idei państwowej. O tego rodzaju szczegółach nie potrzebuje wiedzieć nikt więcej nad nich dwoje, ani nawet jego ekscelencya, sam naczelnik okręgu.

Zwróciwszy się do kwestyj osobistych, Durchlaucht okazał tyle przejęcia się krzywdą, jakiej doznali baronostwo Szymonowie od hrabiego Zoltana, że Aranka nawet nie potrzebowała sama poruszać tej drażliwej kwestyi.

Książę zapewniał ją, że muszą uzyskać kompletną satysfakcyę, *w sposób jakiego Baron Szymon sam sobie życzył.*

Na tem skończyło się pożegnanie z panią, dostojnik przeniósł scenę swojej wizyty do pokoju barona Szymona.

Pogadawszy o tem i o owem, zaraz po pierwszym kieliszku *chartreuse'y*, znakomity mąż, znów nie czekając pytań, dotyczących delikatnej kwestyi, sam wkroczył *in medias res.*

— Wszystko w porządku. Będiesz pan miał zadosyćuczynienie. Byłem u hrabiego Zoltana.

— Jaśnie oświecony książę sam raczyłeś być u hrabiego Zoltana?—zapytał zdumiany Szymon.

— Rzecz naturalna. W tego rodzaju sprawie przecież nie wypadało mi wzywać hrabiego do siebie. Hrabia przyznał, iż obraza, którą baron od niego doznał, wyrządzoną była rozmyślnie i nie wahał się z przyjęciem warunków satysfakcyi. Zatem jutro rano o siódmej spotkacie się panowie w rejtshuli klubu oficerskiego; będziesz, baronie, miał sposobność dać nauczkę temu arogantowi.

— Spotkamy się?...—wyjąkał Szymon osłupiały, czując, że mu twarz czegoś drętwieje; jednocześnie zdało mu się, że stał się niższym naraz o całą głowę i o mało nie padł na podłogę, tak mu jakoś kolana wypowiedziały posłuszeństwo.

— Tak jest, na szable. Ja zawsze białą broń wybieram. Nie proteguję pojedynków na pistolety, bo jeżeli przypadkiem jeden drugiego gdzie podziur-

rawi, zaraz podnosi się alarm, gwałt niebywały, zagraniczne gazety, a zwłaszcza angielskie, przepelniają szpalty opisami, jak się to mordują pomiędzy sobą mieszkańcy kraju tutejszego, słowem, historia niepotrzebnie rozmazuje się po świecie. Jeżeli zaś przeciwnie, obadwaj zapaśnicy wystrzelą w powietrze, to znów berliński „Kladerradatsch” pastwi się nad nimi w sposób nieprzyjemny. Pojedynek na szpady jest najprzypoitszy, zawsze miewa jakiś określony wynik.

Wogóle na trzeźwo rzecz biorąc, trudno było odmówić słuszności poglądom jaśnie oświeconego księcia; ale baron Szymon w chwili obecnej wcale nie był zdolny słuszności tej ocenić.

Nigdy mu nawet w myśli nie powstało w ten sposób dochodzić swojej krzywdy. On się tak cieszył nadzieją jakiegoś realnego odszkodowania...

Książę zaś, do szpiku kości przejęty zasadami rycerskimi, nie rozumiał poprostu, ażeby w kwestiach, dotyczących honoru, mogło istnieć jakiekolwiek inne zadosyćuczynienie, jak drogą pojedynku. Był on przyzwyczajony uważać przelew krwi za rodzaj dyetetycznej reguły życia towarzyskiego i ani wyobrażał sobie, żeby mógł istnieć na świecie człowiek, którego łaskotliwe ciarki przechodzą, gdy kto w pobliżu jego osoby końcem szpady lawiruje. Jakoś nie przychodziło mu to na myśl.

A tu, Szymon Lenke był właśnie jednym z tych wrażliwych.

Przecież nawet dlatego wydalony został niegdyś ze szkoły wojennej, że nie umiał przewyciężyć swojej odrazy do wszelkiego władania bronią.

Zresztą, kto wie? Trudno ręczyć. Dostoj-

nik może i wiedział coś o tem i może postępowanie jego nie było pozbawione pewnej złośliwości.

Wreszcie mogła się na to złożyć jeszcze jedna okoliczność, która zwłaszcza w tych czasach, miała nie małą wagę.

W Wiedniu krzywym okiem zaczęto spoglądać na to, że szlachecka młodzież węgierska z widocznem lekceważeniem traktuje ludzi nowej ery, czyli biurokrację.

Należało efektywnym jakim krokiem położyć temu koniec: np. produkując coś na kształt walki Horacyuszów z Kuracyuszami. Kasyno oficerskie w tym celu wyzwało już nawet kasyno magnatów—*en bloc*. Z obydwóch stron ciągnięto losy i po trzech bohaterów, wskazanych palcem przeznaczenia, stanęło z sobą do walki *pour l'honneur du drapeau!*¹⁾.

A i tam zawistna dola zrządziła tak nieszczęśliwie, iż bić się z sobą musieli nie wrogowie, których podsycalały niechęć wzajemna, ale przeciwnie tacy, których w życiu łączyła przyjaźń, albo nawet i węzły pokrewieństwa.

Tak więc i na Szymona Lenke przyszła kolej wystąpić w obronie swojego sztandaru. Wymagało tego wybitne stanowisko, jakie zajmował, ażeby zagrożoną w opinii publicznej powagę jego osłonić blaskiem odwagi osobistej, czyniąc zadosyć wymaganiom barbarzyńskiej moży, ale jednak po dziś dzień nieprzestarzałej jeszcze formy praw rycerskich.

Dobrowolnie zaś zaprzeczyć, że doznał afroнту—już nie mógł, zapóźno było. Nieszczęśliwa satyra musiała już całe miasto obiedz.

¹⁾ Godnem jest zaznaczenia, że z trzech młodych szlachciców węgierskich, na których wówczas losy padły, dwaj sprawowali następnie wysoki urząd prezydenta ministrów w Austro-Węgrzech.

Przygoda, jaką baron Szymon miał przed sobą, była jednakże porządnie kwaśnem jabłkiem, bo mu aż zęby cierpły na samą myśl o niej.

Jednocześnie uczuł, że gniew jego i oburzenie przeciw hrabiemu jakoś dziwnie maleje.

— Zawsze jest to przecież mój brat!—szepnął z faryzeuszowskiem westchnieniem, usiłując nie dzwonić zębami.

Ale tym niefortunnym zwrotem nieborak jeszcze się gorzej zasypał przed księciem. Ten ostatni pospieszył opacznie pojąć jego słowa. Zaczął go wysławiać.

— Otóż to jest właśnie największą twoją zasługą, kochany panie baronie! My ciebie podziwiamy, z jaką bezstronnością, z jakim hartem ducha nie pytasz się, brat, czy swat na drodze ci staje, tylko nieugięcie wypełniasz to, co obowiązek na twoje barki wkłada. Bo tak też być powinno. Wierność dla rządu droższą być powinna dla ceniącego porządek na świecie obywatela, nad głos krwi i serca! Dzięki też tej zasadzie, której trzymałeś się dotychczas, wzniosłeś się pan w tak młodym wieku tak wysoko. Gdy w ręce ci wpadła nić owego sprzysiężenia sławnego, zamknąłeś oczy na to, nie o tem wiedzieć nie chciałeś, że nici te, jak twarzą pajęczyna, oplatają także twojego brata szyję — uchwyciłeś ją i oddałeś gdzie należało. Był to czyn dzielny. A mógł kosztować nie tylko wolność, ale i życie hrabiego Zoltana. Ale dla ciebie, baronie, pierwszym był wzgląd na porządek społeczny niż głowa brata! Tacy ludzie, jak ty, właśnie stworzeni są do rządzenia światem!

Każdy z tych pochlebnych wyrazów dawał się uczuć Szymonowi, jak ukąszenie jadowitego skorpiona. Prawda! Nie mógł zaprzeczyć, iż wówczas,

gdy miał możność ocalenia Zoltana od więzienia, a może i od śmierci, serce nie zabiło mu na myśl, że jest to przecież „brat!” jego...

Gdy Zoltana dłonie okuwały kajdany, w jego zaś rękę tkwił tak zwany miecz sprawiedliwości—wtedy nie cofał się od wymierzenia ciosu. Dziś dopiero, gdy i Zoltan będzie mógł wystąpić przeciw niemu z ostrzem stali — przypomina sobie po niewczasie, że to *brat* przecież!

— Cóż na to powie nasza wspólna matka!

Proszę! Baron Szymon raczy się troszczyć nawet i o matkę!

— Ależ szanowna ta matrona o niczem nie będzie wiedziała. Właśnie odjechała już dziś rano do swoich posiadłości w górach, gdzie nie była przeszło od dziesięciu miesięcy.

Szymona ciarki przeszły na wspomnienie owych dziesięciu miesięcy.

Nakoniec dostojny gość zaczął spostrzegać, z kim ma do czynienia, więc tonem perswazyi jął uspakajać Szymona:

— Wierzej mi pan, że takie spotkanie to bagatela. Przecież nie będzie to walka na życie i śmierć, ani też nie dopuścimy nawet do niczego poważniejszego. Poprostu do pierwszej krwi. Porozumieliśmy się z sekundantami hrabiego. Wyłączone będą cięcia tak w głowę, jak i w brzuch, tudzież kłóć nie wolno: obaj zapaśnicy będziecie mieli na głowach kapelusze z grubego filcu, kark, tudzież poniżej korpusu zaopatrzymy wam starannie, napiąstek prawych rąk obwinimy jedwabnym bandażem, słowem, choćby który chciał, nie trafi drugiego gdzieindziej, jak w pierś, w ramię, albo w twarz. Ale nie wiem, po co wykładam ci to,

mój baronie, jak dzieciakowi, kiedy przecież w Heidelbergu, gdzie uczęszczałeś na kursa, studenci o byle głupstwo nabijają sobie guzy i szramy, którymi się następnie przed całym światem pyszną. Powiem ci nawet prawdę, kochany baronku, że i tobie byłoby wcale do twarzy z maleńką blizną na którymś z policzków. Taka blizna, wierząc mi, jest uważana w wyższych sferach za rodzaj najskuteczniej polecającego listu do wszelkich awansów i godności.

Tylko tego jeszcze horoskopu trzeba było Szymonowi, ażeby mu resztę odwagi odebrać.

Blizna na policzku! Na jego własnym policzku—wtedy, kiedy on wzdrygał się nawet, jeżeli go czasami cyrulik, goląc nieuważnie, lekko brzytwą zadrasnął.

Raz, skaleczywszy się sam scyzorykiem w palec—omdlał na widok krwi.

Starał się jednak oprzytomnieć i jako tako pogodzić z koniecznością, od której — własny jego rozsądek mu wskazywał, że się nie wywinie.

Gdyby kto był mógł w tej chwili zajrzeć w głąb jego duszy, kto wie, czy nie znalazłby tam kielkującej myśli, że jednak tysiąc razy lepiej byłoby rzucić to wszystko: urząd zyskowny, karierę w przyszłości, pałac, żonę — nawet order — i uciec ztąd na zawsze, gdzieś daleko, gdzie nie obowiązują barbarzyńskie prawa cywilizowanego świata, do bezdomnych, koczujących cyganów...

Cyganowi nikt nie każe pojedynkować się, gdy go kto obrazi!

Ale niestety, Jaśnie oświecony od tej chwili ani

na minutę z rąk nie wypuścił swojej nieszczęśliwej ofiary.

Zabrał Szymona z sobą z hotelu i kazał mu towarzyszyć sobie, jak cień, nieodstępnie, to pod pozorem interesów rządowych, to znów niby dla przyjaźni.

Miał wyjechać, więc baronowi Szymonowi, jako zostającemu na miejscu i mającemu zastępować go tu, chociażby chwilowo, musiał pozdawać akty, rejestry, rozmaite interesy, których sam już nie miał czasu załatwić, powtajemniczać go przytem jeszcze w niektóre szczegóły rządowe, o jakich Szymon jeszcze nie wiedział.

Wieczorem zabrał go z sobą na bankiet pożegnalny, wydany na jego cześć przez klub oficerski. Tam razem z innymi i Szymon musiał się śmiać, bawić, dowcipkować, toastami na toasty odpowiadać, a od wina spostrzegł, że jakoś przybywa mu odwagi, zwłaszcza od szampana. Po szampanie przyszła kolej na poncz, po ponczu na czarną kawę, po kawie zaś na koniak, tak, że gdy przez okna do salonu świt zaglądać zaczął, i okna, i salon, i cały świat razem z nim kręciły się już w oczach Szymonowi, jak gdyby kto jego samego w szalony wir puścił.

Więc położyli go na kanapie i zasnął twardo, jak kawał kłoca; słodki ten odpoczynek atoli nie mógł trwać zbyt długo, gdyż zaledwie zegar wydzwonił wpół do siódmej, zaczęto go szarpać, ciągnąć za ręce i nogi i musiał wstać nieborak, gdyż zbliżała się już pora pojedynku.

Początkowo wcale nie mógł zrozumieć, o co chodzi; dołożono jednak starań, ażeby się w nim

dokołatać ducha i zawieziono go do rajtszuli oficerskiej.

Tam musiał pozwolić zdjąć z siebie zwykle swoje ubranie, a przystroić się według reguł, obowiązujących w pojedynku.

Zaczął narzekać, że mu zimno.

Po chwili jednak, gdy wzrok jego padł na przygotowane szable, tak mu się nagle gorąco zrobiło, że aż się potem okrył.

Jedną z tych szabel wciśnięto mu w rękę, a książkę, który mu sam raczył sekundować, szepnął mu do ucha:

— No, dalej! tylko śmiało!

.
.

Nazajutrz i przez kilka dni następnych hrabia Zoltan Bårdy ostentacyjnie pokazywał się na mieście z ręką na temblaku. Pysznił się z tego poprostu, że ma brata nie tchórza, a nadto tak zręcznego szermierza, iż jemu, fechtmistrowi nad fechtmistrze—zdołał ranę zadać, z której krew pociekła.

— Może Bóg da, że ocenią tam, „w górze” to bohaterstwo Szymona i zabiorą go ztąd do Wiednia!

Ale nikt jednakże zwycięstwa tego nie brał tak na seryo, jak sam baron Szymon.

Zabrał z sobą do domu na wieczną rzeczy pamiątkę szablę złamaną o ciągle, jakby romyślnie nadstawiane ramię Zoltana (gdy nadspodziewa-

niej *ptazem* w nie uderzył) i temi słowy żonę swoją powitał:

— Pomściłem zadaną nam obelgę. Ciachnąłem go tak potężnie, że nie wiele brakło, a byłaby mu cała ręka odpadła!

Aranka z niekłamany podziwem spoglądała na Szymona. Ależ te istny *Ritter ohne Furcht und Tadel!*

ROZDZIAŁ III.

Dobroczynne sztuki piękne.

Jeżeli jakikolwiek objaw z życia lat niedawno upłynionych zasługiwałby na ujęcie go w ramy statystyki, to w pierwszym rzędzie wypadałoby trud ten poświęcić rozpatrzeniu, jak dalece sztuki piękne we wszystkich swoich gałęziach przyczyniały się w epoce ogólnego obumarcia, letargu społecznego u nas, do podtrzymania tradycji i życia narodowego. Dzieciom dzisiejszego pokolenia nie wolno o tem zapominać!

Artystki i artyści śpiewali, deklamowali, grali i talentami swemi zbierali sumy potrzebne na wznoszenie pomników, kaplic pamiątkowych, zakładów opiekuńczych dla sierot i kalek; powiedzieć można o nich, że byli skarbnikami publicznego miłosierdzia.

Tego przecież nie mogły zakazać żadne ludzkie potęgi, ażeby sobie grał, śpiewał, deklamował, kto grać, śpiewać, albo deklamować potrafił; ani też ogółowi niepodobna było wzbronić, aby na tego ro-

dzaju niewinne, artystyczne uciechy czas swój i pieniądze poświęcał. I dopiero gdy się już kasa napelniła do wysokości kosztorysu projektowanego dzieła, wówczas—pan artysta, lub też pani artystka oświadczała poprostu, iż życzą sobie wznieść taką i taką statuetę, czy też kapliczkę, poprostu od siebie samych, dla własnej ochoty, dla zadowolenia własnego kaprysu—wcale nie w imieniu całego społeczeństwa...

I udawało się jakoś. Plemię artystów w owych czasach składało się z samych najhojniejszych mecenasów.

Aliści Szymon Lenke i temu umiał stawiać uporczywe tamy.

Prawdziwie był to jeden z tych ludzi, których przeznaczenie w swoich dziwnych wyrachowaniach, rzekłbyś, na to obdarza władzą, ażeby istotom od siebie zależnym dawali uczuć cały jej ciężar. Nie-darmo podczas jednego *lustrum* zasłużył sobie na przydomek Gesslera.

Lecz przeciwnie jego żona. W krótkim czasie dała się poznać jako jedna z najlepszych chęciami ożywionych członkiń wyborczych dobroczynnego stowarzyszenia kobiet.

Stowarzyszenia kobiece były w tych smutnych czasach także ważnym czynnikiem życia społecznego.

Los, jak gdyby się litując nad pogiębionym ludem, gdy mężczyźni rozbrojeni, pozbawieni zostali wszelkich środków samoobrony, nadał kobietom naszym siłę niemal twórczą, bo zaprawdę, siły twórczej było trzeba do utrzymania na ziemi naszego *ducha*, zupełnie pozbawionego *ciała*, wszelkiej realnej atmosfery bytu.

Działalność niewiast naszych godną jest pomnika! Dopięła celów dalszych i trwalszych, niż wygrane batalie.

Bo—wszakże na świecie całym znany jest aksyomat, że kto przeciw białogłom walczy — walczy przeciw bogom!

W małżeństwie baronostwa Lenke zatem role trafnie były rozdane.

Szymon był prześladowcą, Aranka — orędowniczką.

Kto miał z mężem jaki zatarg, uciekał się pod okiekuńcze skrzydła jego żony. I dodać trzeba, że nie darmo.

Aranka też niebawem stanęła na piedestale sławy świętej zbawczyni, anioła opiekuńczego prześladowanych i zagrożonych prześladowaniem. Jej wpływ zwycięzko przeciwważył wpływowi surowego męża stanu.

Gdy byli razem tylko we dwoje i nikt postronny ich nie słyszał, o czem też rozmawiali z sobą? Czy i w cztery oczy w dalszym ciągu prowadzili sprzeczkę, czy też pękali ze śmiechu jedno do drugiego, przyklaskując sobie wzajemnie:

— Ot, tę scenę odegraliśmy wybornie!

Ha, może też oprócz tego jeszcze i o czem innem mieli z sobą do pomówienia.

Aranka umiała się przedstawić przed swojemi koleżankami tak gorliwą, tak poświęconą dla wspólnej sprawy, że prędko pozyskała nieograniczone ich zaufanie. Dość powiedzieć, że pokochała ją w końcu sama baronowa Anna. Zapomniała o wszystkich goryczach, przykrościach tysiącznych, tudzież upokorzeniach, jakich od niej doznała, umiała nawet przytłumić straszne posądzenie, które pewnego razu

w sercu jej zakiełkowało. Zresztą, co było dawniej, mogło dziś już nie być: baronowa Anna całą duszą uwierzyła w szczere nawrócenie swojej synowej. A wiadomo, że kobieta, gdy ufa kobiecie, odsłania przed nią bez zastrzeżeń aż do dna serce swoje, umysł i duszę.

Jeżeli się w kraju coś knuło, przez Aranę Szymon o wszystkim mógł wiedzieć...

Ale nie było już tajemnicą przed nikim to, że w kraju naprawdę jak gdyby nowy świt wschodził.

Gdy wiosna się zbliża, tchnienie jej ludzie czują i wiedzą, że nadchodzi, nie zaglądając do kalendarza. Tak było, jak gdyby zewsząd kwiatki z pod ziemi pączki swoje wychylały nieznacznie, zwabione dobroczynnymi promieniami słońca.

I zaszła naraz taka zmiana, że ludzie przestali się martwić ciągle, narzekać, ale przeciwnie: zaczęli być swobodni, weseli, ubierać się zaczęli strojniej, jaśniej, wypogodzone czoła świadczyły o zadowoleniu, lub o ożywionych nadziejach ogólnych, zupełnie, jak gdyby na świecie zapanowało powszechne jakieś święto. Podróżni śpiewali, przygrywali sobie po drodze...

Aranka była kobietą sprytną. Zwrot, jaki nastął, przewidywała ona oddawna i całe jej postępowanie, konsekwentnie obmyślane, do tego dążyło, ażeby, pomimo nadchodzącej epoki zmian, utrzymać Szymona na wysokości stanowiska, do jakiego zdążył się wspiać.

To też co on nieraz nadętą swoją pychą i przemocą zepsuł, to ona przebiegłością i finezyą skutecznie umiała naprawiać.

Od polityki atoli rządzą ludźmi czasami silniejsze jeszcze żywiły.

Zarówno mąż, jak i żona, mieli pewien styczny punkt, który zdolny był popełnić obojga do najjastrawszych szaleństw.

Był to jeden z owych demonów, o których już raz mówiła Aranka:

— Czuję, że we mnie mieszka dwóch szatańców: jeden skłonny do uniesień, zachwyty, upojen — drugi zimny, okrutny, żądny łez i krwi ludzkiej...

I Szymon miał w sobie coś podobnego. Chłodny zazwyczaj, trzeźwy i nieprzystępny, gdy go ogarnęła jaka namiętność, gotów był dla niej stracić wszystko, czego się w życiu, bądź co bądź, nie bez trudu dobił: stanowisko, władzę, majątek.

A zarówno mężowi, jak żonie, stała na drodze do zadowolenia tej namiętności jedna, lecz dotychczas niezwyciężona przeszkoda: niezłomna wierność dwóch serc uczciwych.

Cygan i cyganka z taką stałością kochali się wzajemnie, jak para szlachetnych zwierząt dzikich.

Niedźwiedź nie porzuca nigdy swojej małżonki, ani też niedźwiedzica swojego samca.

Dlatego nawet polski lud prosty w ten sposób komentuje miano niedźwiedzia, że: „*nie jeden, tylko dwie!*”

Citera mogła już mieć lat dwadzieścia jeden; dzika, indyjska uroda zdawała się bić od niej na kształt promieni.

Towarzystwo dam miejscowych przyjęło ją do swego grona, jako małżonkę artysty, który talentem swoim (choć dotąd wyłącznie tylko na prywatnych zebraniach) dla dobra publicznego niejednokrotnie dużo działał.

Za każdą sposobnością widzieć ją można było w towarzystwie pań, dumnych ze swego urodzenia i majątku.

Szymon szalał za nią poprostu.

Podobneż uczucie targało duszę Aranki: szalała za artystą.

W dawno minionej epoce greckiego klasycyzmu przypisanoby podobną komplikację sympatyi, złośliwemu kaprysowi bóstwa miłości, Wenerę.

A dodać trzeba, iż oboje znali do siebie ten zobopólny obłęd, lecz każde z nich w inny sposób to przyjmowało.

Szymona miłość własną raniła świadomość, iż żona jego może kogo innego kochać, wyżej stawiać, kim innym zachwycać się—jak nim samym. Zazdrośnym był całą potęgą nie miłości, lecz upokorzonej pychy.

Aranka zaś przeciwnie: sprzeniewierzenie się małżonka swojego traktowała nietylko z absolutną obojętnością, ale nadto z właściwym sobie szatańskim sprytem usiłowała użyć go za wodę na swój młyn.

Marzeniem jej było, ażeby Citera odpowiedziała wzajemnością Szymonowi, gdyż z doświadczenia własnego wiedziała, że gdy kobieta upadnie, złamawszy wiarę człowiekowi, który ją kocha — ten ostatni raz na zawsze pogardzi nią i odwróci się od niej; w sercu zaś jego tę przełomową fazę jeden już tylko krok dzieli od pocieszenia się z inną.

Ale baron Szymon miał także swoją dyplomację, która, zdaniem jego, napewno do zwycięstwa wiodła. Dotychczas jeszcze ani razu nie udzielił

pozwolenia Paolowi Barkó na występ publiczny. Daremne były wszelkie protekcyje, prośby, przedstawiania.

Tem się tłumaczył jego ekscelencya, że unikać należy wszystkiego, co mogłoby dać powód do jakichkolwiek politycznych demonstracyj, a koncert Paola—według jego zdania—napewno powodów takich dostarczyłby bez liku.

Tymczasem pozwolenie to oddawna już istniało na piśmie w biurku Szymona, lecz nie prędzej miało zostać wydanem do rąk interesowanego, aż—Citera z góry cenę jego zapłaci.

Aliści Szymona Lenke zawezwano pewnego razu na naradę do namiestnictwa w Budziszynie, gdzie dnia tego ważne rzeczy miały się rozstrzygać. Był to pamiętny październik 1860 roku.

Aranka skorzystała, jak psotny dzieciak z tej okoliczności i kazała sekretarzowi swojego męża wydać sobie gotowe pozwolenie na koncert Paola Barkó.

Kobiece stowarzyszenie dobroczynności postanowiło wznieść dom przytułku dla ubogich sierot; dochód z koncertu miał być przeznaczony na budowę tego gmachu.

Wybornie był naówczas zorganizowany nasz rząd narodowy, niewidzialnie dla niczyich oczu. W ciągu jednego dnia wyprzedane zostały co do jednego wszystkie bilety do teatru (gdyż koncerty odbywały się w teatrze), ułożono program i widowisko naznaczone zostało na dzień następny. Naczelnik okręgu, wróciwszy, zastanie fakt dokonany i na nic się już nie zdadzą jego protesty; dźwięków, które ze skrzypiec raz w świat ulecą, wtłoczyć w nie napowrót już nikt nie potrafi.

Na godzinę przed rozpoczęciem uczty muzy-

kalnej wszystkie członkinie stowarzyszenia dobroczynności były już zebrane w *foyer* teatralnem; dopuszczono tam również i niektóre osoby znajome z arystokracji, wtajemniczone w zajmujący sekret dzisiejszego wieczoru. Mianowicie po odegraniu kilku numerów artysta miał otrzymać od deputacyi dam, tytułem podziękowania i hołdu, duży wieniec srebrny. Wspaniały ten dar wolno było właśnie przed koncertem oglądać osobom życzliwym artyście i stowarzyszeniu.

Między innemi były tam także obecne baronowa Anna, baronowa Aranka i Citera. Wślizgnęła się nawet i Manga, licząc na to, że jej nikt nie dostrzeże z po za portyer, gdzie się ukrywała prze-zornie. Cyganka stara miała na tyle sumienia, że nigdzie Citera nie puszczała samej, gotowa w każdej chwili bronić jej swoją obecnością.

Baronowa Anna otworzyła zebranie następującemi słowy:

— Szanowne panie! Mam zaszczyt oznajmić wam radosną nowinę, że sprzedaż biletów na dzisiejszy koncert, przechodząc najśmielsze nasze oczekiwania, w zupełności pokryła cały kosztorys gmachu ochronki dla ubogich sierot, który wzniesić zamierzamy.

Istotnie, podobnie hojna ofiarność publiczna w innych krajach byłaby wypadkiem wprost nie do uwierzenia; u nas bywała podówczas na porządku dziennym.

Citera uradowana, nie mogła wytrzymać, ażeby nie wtrącić, korzystając z chwilowej ciszy;

— A wszystko to zapracował mój mąż smyczkiem na skrzypcach!

— Rzeczywiście w dziele tem on największą położył zasługę.

— Kiedy ja właściwie nie dlatego to mówię, ażeby łaskawe panie jego wysławiały, ale przeciwnie, na chwałę publiczności węgierskiej, że okazała taką niezwykłą ofiarność dla usłyszenia biednego, wędrownego skrzypka. Rzecz naturalna, że większą zachętą do tego był tutaj główny cel koncertu, aniżeli sam artysta. Mąż mój, gdy się dziwiłam, dlaczego mu tak chodzi o doprowadzenie do skutku tego koncertu, wytłómaczył mi, że kiedyś nasze własne dzieci mogą potrzebować schronienia w tym zakładzie, a takich, jak my, mogą być tysiące rodzin w naszym kraju. I rzeczywiście, u nas już pięcioro za czupryny się tarmosi...

Damy, słuchając tych, tak naiwnie i szczerze wypowiedzianych poglądów, uśmiechały się milczkiem, spoglądając po sobie; jedna tylko baronowa Anna zachowała powagę.

— Dzisiejszy koncert będzie koroną wszystkich naszych koncertów na cele dobroczynne. Już wczoraj wszystkie bilety były wyprzedane. Entuzjazm gości zebranych jeszcze bardziej wzrośnie, gdy przeczytają program. Ale i komitet naszego stowarzyszenia nie omieszka ze swej strony złożyć artyście dowodów wysokiego uznania za to, iż z taką gotowością talentem swoim, blaskiem znanego już w Europie swojego imienia, tak dzielnie dopomógł nam do zebrania kwoty, potrzebnej do wprowadzenia w czyn naszych planów w sprawie dobra społecznego. Postanowiliśmy podać artyście podczas koncertu laurowy wieniec ze srebra, a otóż — ze srebrnego, wieniec ten stał się naraz złotym!

To rzekłszy, otworzyła aksamitny futerał, leżący na białym stoliku teatralnym.

Zapanowało między damami powszechne zdu-

mienie; zewsząd „ah! ah!”—dały się słyszeć okrzyki podziwu. Osobliwa ta przemiana jednak najbardziej zastanowiła kasyerkę stowarzyszenia.

— Nie pojmuję, jakim sposobem stać się to mogło? W kasie była zebrana tylko suma na wieńiec ze srebra!

— Stało się to mianowicie, iż jedna z dam z własnej kieszeni zebrana sumę naraz podwoiła.

— Któż to? kto to taki?—spytało naraz kilka głosów ciekawie.

— Ofiara wniesioną została bezimiennie, nadesłano ją listownie bez podpisu.

Więc przestano się dopytywać, a wielu osobom przyszło na myśl, że kto wie, może wspaniałomyślną tą ofiarodawczynią jest sama baronowa Anna i chce zachować incognito?

— Trzeba teraz jedną z naszego grona wyznaczyć do podania artyście tego wieńca — podjęła rzecz nanowo baronowa Anna.

— Może sama pani prezydująca zechce...—odezwały się głosy.

— Trudno to będzie, nie jestem przyzwyczajoną do występów publicznych, i ile razy wypadnie mi coś powiedzieć w większym zgromadzeniu, zaraz mi serce bić zaczyna gwałtownie, i zamiast mówić—tylko bym płakała. Lepiej kogo innego wybierzcie, drogie panie.

I znów Citera głos zabrała po swojemu, w sposób wcale niedyplomatyczny. Biedactwo przy wielkiej urodzie, wdzięku, ruchach powabnych, chociaż nie miała w swoim obejściu nic grubiańskiego, ale w żaden sposób nie mogła zrozumieć, co w salonach, w arystokratycznym kole uchodzi, a co nie uchodzi.

— A któżby godniejszym był podać mu ten

wieniec, jak osoba, która sama go zafundowała i ze srebrnego—przemieniła w złoty? Jej Ekscellencya!

I bez najmniejszej ceremonii na Aranę wskazała palcem.

Młoda baronowa zapytała chłodno:

—A skądże pani wiesz o tem?

Citera w przebiegłym, cygańskim uśmiechu pokazawszy białe zęby, odparła zuchowato:

—Jabym miała o tem nie wiedzieć?!

Panie znacząco pokręciły głowami.

—Dobrze—rzekła Aranka, by przerwać chwilę milczenia; mogę się podjąć tej misji i podać panu Barkó wieniec przeznaczony dla niego. Przyzwyczajona będąc do publicznych występów, nie mięwam tremy, gdy mi wypadnie mówić w licznie zgromadzeniu, serce mi nie bije, ani też lży nie ciśną mi się do oczu,

Weszli nowi goście.

Na czele szedł pan Lebegut (w złocistym mundurze węgierskim) pod rękę z panią Fruziną, dźwigającą na głowie czółko w kształcie wieży, jakie nosić zwykły kobiety z Debreczynu. Za nimi ukazał się na sali pan Balambér, którego twarz napowrót zdobiły wąsy, a czaszkę—bezczelnie czarna peruka; pod rękę wiódł, jak przynależało, swoją połowicę; wszedłszy, szastaniem się nogami, zaopatrzonemi w buty z ostrogami, o mało nie pouszkadzał wszystkich trenów wspaniałych. Dalej—pan Ollósi, literalnie uginający się pod ciężarem laurowego wieńca z czterolokciową wstęgą, w barwach narodowych, na której widniał lapidarnemi, złotemi literami wydrukowany szumny napis dedykacyjny.

—Przyszliśmy tak wcześnie, wcześnie tak przyszliśmy... zaczął pan Lebegut. Bo to mój zwyczaj, mój zwyczaj taki. Na wizycie, czy w teatrze,

zawsze jesteśmy pierwsi. Korzystając z czasu, obejrzymy srebrny wieniec. Co?... to złoty wieniec?!

Ale zdaniem pana Ollosi'ego, jeżeli wogóle kto był ciekawy na świecie jakiego wienca, to nie powinien patrzeć na jakiś tam złoty drobiazg, lecz raczej na okazały wyrób ogrodniczy, który on w swoich rękach wysoko do góry podnosił.

Pani Fruzina na migi zadała pytanie, czy artysta będzie skakał przez ten wielki wieniec, tak jak ów *Kunstreiter*, którego kiedyś podziwiała w cyrku? Tylko tam średnica koła powleczonego była biułą; to stanowczo podnosiło efekt.

— Ile też może kosztować taki wieniec złoty?—pytała na stronie pana Balambéra jego godna małżonka.

— Z dziesięć kadastralnych morgów ziemi pierwszej klasy, z okolic Meröség'u—odparł prezes komisji kadastralnej z zacięciem prawdziwego znawcy, poczem pospieszył z komplementami do dam z komitetu dobroczynności, przyczem pokazując im swoje, istotnie obiecujących rozmiarów dłonie, jął zapewniać z przejęciem, że „uszy wszystkim popuchną od oklasków dzisiaj, gmach drzeć i szyby dzwonić będą!”

Pan Ollósi asystował tymczasem Citerze, zasypując ją pochlebstwami na rzecz jej samej, tudzież męża, pokazywał jej podłużny skrawek papieru, nazywany w technicznej gwarze dziennikarskiej „psim językiem”. Napisałem już sprawozdanie z dzisiejszego koncertu, niech pani tylko przeczyta!

— Nie potrafię tego przeczytać.

(Nie dlatego, ażeby Citera czytać wcale nie umiała, ale, ponieważ hieroglify pana Ollósi'ego chyba tylko specjalnie w tej sztuce wyćwiczony zecer mógł odcyfrowywać).

— Czy nie mógłbym naprzód poznać treści toastu, jakim panowie zamierzają uczcić naszego artystę podczas bankietu? Dla gazety jest to taka ważna rzecz mieć podobne szczegóły wcześniej, nim cały świat je ujrzy! Czy pani nie zechciałabyś mi podyktować nazwiska dam, fundatorek tego pięknego upominku? U którego złotnika, proszę, robiono ten wieniec? A któż go ma podać?

Odpowiedzi notował sobie ołówkiem, stenograficznymi znakami w notesie, który, dla większej wygody, nie zawahał się oprzeć o pulchne i szerokie plecy pana Balambéra.

— No, moi państwo—użalał się prezes komisyi kadastralnej—ten nicpoń używa moich pleców za pulpit. Bestye ci dziennikarze, jak oni potrafią ze wszystkiego zysk dla siebie wyłowić! A nie zapomnijże pan nadmienić, że i ja tutaj byłem

Tymczasem przybyli razem Zoltan Bãrdy z artystą.

Obadwaj ubrani byli według mody tegorocznej, to jest w strojach narodowych.

Zoltan miał na sobie granatową attilę z okazałemi guzikami, przedstawiającemi wielką wartość, jako antyki, białą kamizelkę z szafirowemi haftami z Kalotaszeg, obcisłe spodnie węgierskie koloru „dzikiego gołębia” i palone buty z wysokimi sztylpami i brzęczącemi ostrogami ze stali.

Paolo zaś zarzucił na siebie attilę czarną, aksamitną, z guzikami z ognistych granatów, wiśniowe spodnie węgierskie, krawat z długą frendzlą, zawiązany niedbale, lakierowane buty ze sztylpami i srebrnemi ostrogami.

Obaj pośpieszyli przed wszystkimi baronową Annę przywitać.

Zoltan pozostał przy matce i rzekł do niej ściszonym głosem:

— *Dotychczas* jakoś udawało nam się z urządzeniem tego koncertu bez przeszkód...

— Mam nadzieję, że uda nam się z nim w ten sposób do samego końca

— Zato trudno ręczyć. Kareta nasza minęła się w drodze z ekstrapocztą, wiozącą naczelnika okręgu.

Paolo, powitawszy innych, został przy Arance. Piękna pani obdarzyła go palącym spojrzeniem i długim, znaczącym uściskiem dłoni. Lica jej jaśniały weselem.

— Dzisiaj zdobędziesz pan sobie imię olimpijskiego zwycięzcy!—rzekła z uśmiechem.

— Dobrych chęci po temu napewno mi nie zbraknie.

— Przygotuj się pan na to, że cię spotka podczas koncertu miła niespodzianka... Mnie właśnie wydelegowano do wręczenia ci drobnego upominku...

— Zaszczyt to będzie dla mnie tak wielki, iż o wiele przewyższy moją zasługę—jeżeli wogóle mam jaką.

— O, nie mów pan tego. Artysta powinien mieć samowiedzę władzy, jaką posiada: dokąd inni wspinają się w pocie czoła, z trudem, tam artyście wystarcza przyjść i spojrzeć; tryumf sam do stóp mu się ściele. Artysta—jest to tytan, dziecię innej planety. I ja niegdyś byłam mieszkanką tego świata zaczarowanego i wiecznie po nim tęsknię. Nie raz taka mnie za nim ogarnia nostalgia, że pragnęłabym się przemocą wydrzeć z pęt, które mnie krępują i napowrót uciec do tego nieba. Doprawdy, jestem istną lunatyczką na tym punkcie. Gdy mnie opanjuje ta faza snów i marzeń, jeżeliby się wtedy

znalazła jaka dłoń pomocna, któraby mię uchwyciła i pociągnęła za sobą, rzuciłabym z uniesieniem rozkoszy tę znienawidzoną atmosferę nudów, głupoty i drobiazgów, a na skrzydłach sztuki uniosła się tam, gdzie panuje święty ogień, w którym płonie i wiecznie się odradza Fenix wielkich ideałów!

Paolo Barkó nie był wdzięcznym słuchaczem tej bombastycznej przemowy; schylił głowę i starał się nie uśmiechać szyderczo. Zachwyty artystyczne nie były mu obce; ulegał im z całą szczerością swojej prostej duszy. Ale to, o czem mówiła Aran-ka, rozumiał doskonale—pomiędzy wierszami.

— Odegrasz pan dzisiaj moją ulubioną piosenkę—rzekła po krótkiej przerwie Aran-ka. Powiadają, że i słowa i muzyka jej są utworem pewnego króla—dla królowej.

(Miała to być piosenka „*repülj fecském ablakára*” ¹⁾), przypisywana księciu Rákóczy’emu).

— Tak jest. Tylko, że dzisiaj odegra ją szary proch, niewolnik—odparł z uśmiechem Paolo

— Dla niewolnicy?

— Dla królowej, pani.

— Oh, gdyby królowanie polegało tylko na udzielaniu łask, umiałabym być królową! Ale, muszę pana uprzedzić. Szepnięto mi, że po bankiecie koncertowym zebrane na nim świetne towarzystwo uda się z prośbą do mnie, ażebym zaśpiewała. Naturalnie będę się wymawiać. Ale jeżeli pan chociaż słówkiem poprzesez ogólne prośby—natychmiast dam się ubłagać i zaśpiewam. Tak dawno już nie śpiewałam, że doprawdy nie wiem, czy potrafię? Co

¹⁾ „Pofruń jaskółko do jej okna”.

pan najbardziej lubisz z mojego repertuaru? Solo Roziny... czy też może—walc Arditiego „*Il baccio?*” Wolisz pan walca, nieprawdaż? Bo też niema na-deń nic bardziej upajającego!

I zciha nucić zaczęła początkowe takty.

„*Sul le—sal le labra...*” Cyt! nikt nie powinien słyszeć, to będzie niespodzianką.

Na licu Paola pojawił się przelotny uśmiech ironiczny.

— I ja również mam niespodziewaną nowinę do udzielenia waszej ekscelencyi. Mąż pani powrócił do domu.

Na te słowa wpadła Aranka w taką wściekłość, że zapomniała nawet chwilowo o pięknej pozie i miłym wyrazie twarzy.

— Mój mąż?... To niepodobieństwo! Przecież on musi teraz przebywać w Budzynie na nara-dach!

— A jednak powrócił i to specjalnie wynajętą ekstrapocztą.

(Podówczas w całej tej prowincyi nie było jeszcze kolei żelaznych).

Pan musisz być w błędzie!

— Widziałem go na własne oczy, wjeżdżającego w bramę pałacu państwa.

— Na taki piekielny pomysł istotnie on tylko jeden umiałby się zdobyć... Trzeba czempredziej zawiadomić prezesową.

Paolo skłonił się i pośpieszył do baronowej Anny.

Aranka dygotała ze wzburzenia i gniewu.

„Szymon powrócił? Ekstrapocztą! Nawet nie zażądał wysłania po siebie własnego powozu do stacyi kolejowej w Debreczynie, jak to zwykle robi...

Ten człowiek goni własną zgubę! I właściwie, co go tu sprowadza? On teraz powinien kamieniem siedzieć w Budzinie, dokąd namiestnik tak pilnie go zawezwał. Kwestya bytu lub niebytu rozstrzyga się tam dla niego, a ten idyota traci zmysły i do domu wraca! I to właśnie *dzisiaj*! Ach, luby panie. Dzisiaj jest dniem moim! Jeżeli zwaryowałaś do połowy, no, to zwaryujże do końca!”

Arance błysnął zamiar iście demoniczny. Wyszukała Cyterę, z którą obchodziła się zawsze nader przyjacielsko. Pieściła ją jak dziecko i przemawiała do niej cukrowo - miodowo - ulepkowatemi słowy.

— Kochaneczko moja miła, mam do ciebie wielką, ogromną prośbę. Nie odmówisz mi, wszak prawda? Szepnięto mi przed chwilą, że po kolacyi towarzystwo ma zamiar prosić mnie, abym i ja swoim śpiewem dopełniła artystycznej uczty. Bądź tak dobra zatem, oto jest klucz od tapetowych drzwi mojego buduaru, gdzie stoi etażerka z nutami: wsiądź do mego powozu, pojedź i wyszukaj mi nuty, walca Arditti'ego *Il baccio*. Zabierz z sobą lokaja... Uczynisz to, duszko, aniołku?

Cytera wzruszyła toczonemi ramionami i uśmiechnęła się swobodnie.

— *Skoro jego ekscelencyi niema w domu, z całą przyjemnością.*

Paolo byłby lepiej uczynił, gdyby żonie swojej zamiast Arance udzielił wiadomości, że widział barona Szymona, wracającego do domu. Cytera nie wiedziała o tem jeszcze.

Aranka odczepiła od bransolety niewielki klucz z pozłacanego glinu, którym otwierały się tapetowe drzwi jej buduaru i wręczyła go Cyterze.

Piękna Cyganka oddaliła się śpiesznie, ażeby zdążyć z powrotem przed rozpoczęciem koncertu.

Aranka spojrzała na zegarek.

„Jak stoimy z czasem? Jeżeli baron przed chwilą powrócił z podróży, to oczywiście przedewszystkiem musi zmienić ubranie. W zakurzonej odzieży podróźnej przecież nie mógłby się pokazać w teatrze. Już to znana jest jego próżność, dbałość o urodę, a zwłaszcza o malowniczy układ kędziorów. Zanim je przyprowadzi do klasycznego ładu, upłynie co najmniej pół godziny. A tymczasem zajdzie mu drogę pomyślna szansa... Posłyszysz czyjeś kroki w buduarze... Gdyż pokój jego sąsiaduje z buduarem. I zastanie tam Cyterę — samą jedną! Reszty już samo лихо dokona.”

Aranka z takim uczuciem tryumfu poprawiała fałdy sukni w lustrze, jak istota, zupełnie zdecydowana odpowiadać za następstwa wywołanej przez siebie gry.

Tu spadnie jedno, a tam długie spadnie — ze wspólnego nieba.

Jednego tylko drobiazgu nie obrachowała Aranka.

Nie przyszło jej na myśl, że w mężczyźnie obrażonym gniew bierze górę nad próżnością. Kto kipi ze złości, ten nie staje przed lustrem dla poprawienia krawatu.

Gdy Szymon przybył do pałacu, w całym jego obrębie żywej duszy nie było, z wyjątkiem szwajcara. Teatr pochłoniął wszystkich domowników: jedni siedzieli przy koniach, inni na jaskółce, sekretarz, pisarz — w krzesłach. Szwajcar miał u siebie wszystkie klucze, pootwierał jaśnie panu drzwi.

Jego ekscelencya burzliwie, jak huragan gromonośny, przebiegł wszystkie pokoje, trzaskając

drzwiami bez pocucia miary. W sypialni żony wpadł mu w oczy leżący na biurku program dzisiejszego koncertu.

Szymon, przeczytawszy go, aż się zapienił z oburzenia. Coraz bardziej rozwijał śledztwo.

W jednej z szufladek znalazł list baronowej Anny, dziękujący Arance za wspaniałomyślny dattek na złoty wieniec dla Paola Barkó.

A tu jak na złość, koroną pięknych właściwości Szymona było kolosalne skąpstwo.

Złoty wieniec! Dla Cygana!

Szwajcar zapytał pokornie, czy przypadkiem żona jego nie ma zagrzać wody do golenia dla jasnie pana?

— *Küss die Hand!* Możesz iść do dyabła. Będę tam dość ładny i z kudłatą twarzą!

Nawet surduta nie przywdział, lecz został w zapyłonym żakiecie szarym z zielonemi wylogami.

Ba! Gdyby był przeczuwał, jakie go szczęście omija w tej chwili!

Nawet fiakra zawołać nie kazał, lecz popędził piechotą do teatru, nie przez główną ulicę, ale przez zakazany jakiś zaułek, któredy bliżej było do celu.

W taki to sposób nie spotkał karety, wiozącej do pałacu piękną Cyterę, wysłaną po walca „Il Baccio...”

Wpadł do *foyer* jak bomba, brudny, potargany, obrośnięty, między zebrane tam świetne towarzystwo.

Aranka odrazu go dostrzegła.

Na razie zadrżała, lecz wprędce opanowawszy wrażenie, z uśmiechem witać go zaczęła:

— Ach, i pana tu mamy? Jakaż niespodzianka!

Szymon, zadyszany, zarówno z prędkiego biegu, jak i ze wzburzenia, wyjąkał, sapiąc głośno:

— Co się tu za komedya rozgrywa?

— Komedya?... Ha, przecież jesteśmy w teatrze.

— Tak, ale dla nas w teatrze właściwem miejscem jest widownia, nie scena. Nam nie grać przystoi, ale patrzeć, jak grają inni, i klaskać, albo gwizdać.

— Doprawdy? Więc w jakichże zamiarach pan tu przybyłeś? Do klaskania, czy do gwizdania czujesz dziś chętkę?

— Uspokój się pani. Zamiarów moich nie odgadujesz zgoła. Przybyłem tutaj na to, aby tej idiotycznej demonstracyi zapobiedz.

— Jakiej demonstracyi właściwie?

— No, temu dzisiejszemu, tak zwanemu koncertowi. Od kogo macie pozwolenie na tę szopkę?

— Od ciebie samego, szanowny mój małżonku. Znaleźliśmy podpisane już, gotowe pozwolenie twoje u sekretarza, który zresztą upoważniony jest nawet do tego, aby i sam wydawał odpowiednie zezwolenia.

— I wyście skorzystali z mojej nieobecności, aby pod pozorem niewinnej zabawy publicznej taki śmieszny skandal urządzić!

— Nie rozumiem zupełnie słów pańskich.

— Każde pozwolenie na przedstawienia, czy popisy publiczne połączone jest z warunkiem, ażeby ci, którzy daną zabawę urządzają, szczegółowy jej program przedstawili komitetowi cenzury na trzy dni przed dniem oznaczonym.

— Rozporządzenia tego trzymano się tu ściśle. Cenzor nie znalazł nic do przygany programowi.

— Jutro dostanie dymisyę. Osiel! Daje sobie oczy zasypywać, jak piaskiem, takim programem!

— Właściwie, co pan tu widzisz tak złego?

— Co? Ależ proszę spojrzeć (tu wydobyl Szymon z kieszeni program, znaleziony na biurku u żony) na pierwszym planie stoi utwór Svihrova. A wiesz pani, co to jest? nie jest to nic innego, jak „marsz Bercsényi'ego”, przy dźwiękach którego Kuruczanie kraj opuścili.

— Nie miałam przyjemności znać Bercsényi'ego i nigdy nie widziałam Kuruczana.

— A numer drugi: „Żale Biharu...” Przecież jest to istny protest komitatu Biharskiego!

— Ułożony do śpiewu? Szczególnie!

— Następnie: „Leć jaskółko”. O tem to już każde dziecko wie, że wiersz do tej pieśni napisał Franciszek Rákóczi dla swojej żony.

— I czyż pokrzywdził tem kogo, że wiersze pisał do swej żony?

— Na końcu zaś stoi pewien marsz węgierski, transponowany przez Berliozą, z akompaniamentem całej orkiestry. Czy pani wiesz, który to marsz transponował Berlioz? Marsz Rákóczi'ego!

— Słyszałam go na próbie jeneralnej i za prawdę mogę zaświadczyć, że jest to coś przewspalego.

— Nie, to nie do uwierzenia, ażeby się tu ośmielono z podobnym programem występować! Żadne porządnie ukonstytuowane państwo nie zniosłoby podobnej zniewagi.

— Czyż ten wasz porządek państwowy rzeczywiście na tak słabych nogach stoi, że go obalić może pierwszy lepszy skrzypek?

— Nie skrzypek go obali, lecz ci, którzy wa-

ryują w ślad za ruchami jego smyczka! Dziś jeszcze, gdy cały kraj wre i kipie! A wrzenie to nie pochodzi z dołu, z warstw niższych, lecz z góry! Sami magnaci i magnatki są reżyserami tej chwalebnej hecy. Zaśniedziała w dawnych przesądach, konserwatywna partya arystokratów buntuje podatny do wszelkich wybryków motłoch. W Peszcie, wzięwszy się za ręce z aktorami i pisarzami, sami dostojnicy występują w rolach wcale dla siebie nieodpowiednich i odgrywają komedye, której lepiej, żeby nie było. Najzabawniejsze te cele miłosierne, jakimi się zasłaniają: „na rzecz w nędzy pogrążonych braci naszych, Chorwatów!...” Zupełnie, jak gdyby rząd sam nie myślał dostatecznie o swoich Chorwatach. Na scenie, na estradzie, wszędzie, gdzie się zmieści, protest swój wcielają w muzykę lub w słowa, osłonięte przezroczywą przenośnią, a ograniczona publiczność aż pieje z radości na widok karabeli i dźwięk szumnie brzmiących, starodawnych swoich haseł. A ponieważ drukowaniem słowem wzbronione jest wyrażać skargi i lamente, więc skrzypcom powierzają wydawanie jęków, w muzyce wypłakują swoje niezadowolenie i gniew bezsilny, tłum i tak je rozumie. Już nawet i zagranicą poznano się na tem: cudzoziemki deklamują po węgiersku: *Ha férfi vagy, légy férfi!* ¹⁾, a od pojazdów znaczniejszych komediantów i grajków tłum wyprzega konie, aby sam miał chwałę ciągnienia ich drogocennych osób! I czy pani sądzisz, że ja się na to zgodzę, że ja to ścierpię, jak daleko moja ręka sięga?

Tyrada ta, wypowiedziana z nieporównanym patosem, czyniła wrażenie nad wszelki wyraz komi-

¹⁾ Bądź mężnym, jeżeli jesteś mężem!

czne. Jeżeli ją kto słyszał z boku, pewnie miał ochotę zapytać Szymona, dlaczego nie żałuje tak wielkiego rozmachu dla zabicia muchy? Czemu gniewa się tak mocno za bagatelną, niewinną rozrywkę?

To też Aranka roześmiała się, nie tając ironii.

— Panie! Mówka twoja była tak klasyczna, że gdybyś ją był wypowiedział na scenie, stanowczo wszystkie dłonie byłyby się złożyły do oklasku. Szkoda tylko, że ten ton podniosły trwonisz dla mnie jednej. Lecz pozwól sobie powiedzieć, że tego rodzaju rola nie podchodzi pod twoje uzdolnienie; pamiętaj o tem, że twoją specjalnością powinny pozostać nazawsze charaktery, nadające się do pewnego przeszarżowania, od którego nigdy nie potrafiś się ustrzedz. Zresztą, pomówmy bez ogródek, z całem zaufaniem; przecież będąc „jednem ciałem i jedną duszą”, mamy pewne do tego prawo. Pan się gniewasz, jesteś pan silnie podrażniony, widzę to i rozumiem. Ale, żeby rzeczywistym i bezpośrednim powodem tego marsa była polityka, daj, ale tego wcale nie widzę, a choćbym nawet i dojrzała, nie uwierzyłabym pozorom. Albowiem, czy też kiedy kto wytacza armaty przeciwko wróblom?

— Najgorzej jest lekkomyślnie lekceważyć wroga i siły jego uważać za mniejsze, aniżeli są.

— Ależ przeciwko takiemu wrogowi wystarczyłoby iść z łapką na muchy! Całe plemię węgierskie jest giętkie, jak trzcina; każdy około palca je sobie obwinie, jeżeli z niem postępuje grzecznie i łagodnie. Dopiero gdy je kto przemocą złamać usiłuje, wówczas budzi się w niem reakcja, odpryska i uderza. Ale zresztą mniejsza o to, co mi do tego. Jestem kobietą i polityka nic a nic mnie nie

obchodzi. Zato znam się wybornie na wszystkim, co kobiece.

— Ciekawy jestem usłyszeć, na czym się tak znasz?

Szymon zaczął *per ty* przemawiać do swojej żony, co zawsze oznaczało podwojoną nieszczerłość.

Aranka z wdziękiem oparła swoją drobną dłoń na ramieniu męża i przemawiać do niego zaczęła z minką szczęśliwej, młodej żoneczki, zachwyconej swoim mężusiem i szepcącej mu do ucha same najtkliwsze oświadczenia.

— Ja tam nie posiadam oczów Argusa, ani uszów Dyonizyusa, ale zato danym mi jest pewien *spiritus familiaris*, który mi wszystko zawsze w porę podszeptuje. Wiadomo mi na przykład, że tyś sam obiecał, uroczystem słowem związałeś się, że udzielisz pozwolenia na występ publiczny Paolowi Barkó, artyście, sławnemu już dziś w całej Europie, a który i u nas jest postacią popularną i ulubioną. Wiem, że przyrzekłeś nie stawiać mu przeszkód do koncertu na cel dobroczynny.

— Doprawdy? I komuż to przyrzekłem, jeżeli wolno wiedzieć?

— Pewnej nader miłuchnej, godnej uwielbienia osobce: ślicznej małżonce naszego artysty.

— Ale warunkowo.

— Och, że warunkowo, temu nie myślę zaprzeczać.

— Zapowiedziałem, żeby program komitetowi cenzury przedstawić.

Aranka zaśmiała się czarująco.

— Może i są naiwni, którzy temu uwierzą, ale nie ja. Nie o program tu chodzi i nie o cenzurę. Prostu, przykro ci było, że młoda kobietka, ilekroć przychodziła do ciebie z interesem, czy prośbą,

zawsze przyprowadzała z sobą swoją świekrę, jako nieodłączną duennę.

— Istotnie, widok takiej asysty, dla nikogo nie mógłby być przyjemnym! Ach, te świekry! to są dopiero prawdziwe Argusy i Dyonizyusy!

Szymon, zmieszany, w milczeniu przygryzał wąsy.

— Więc miałeś kompletną słuszość szepnąć pięknej tej osóbcie, że prośby jej miałyby o wiele pomyślniejszy rezultat, gdyby przychodziła starać się o koncesyę na koncert sama, bez towarzystwa duenny... Ze wówczas, kto wie? Może byłbyś skłonny w takim razie mniej surowo zapatrywać się na działalność artystów w tutejszym kraju — i koncert może przyszedłby do skutku.

— Ech! Koszałki opalki.

Aranka wciąż jeszcze nie puszczała ręki Szymona. Szeptala mu dalej poufnie:

— A w takim razie i program mógłby sobie ułożyć artysta, jakiby mu się żywnie spodobało. Niechby sobie nawet zinterpretował ów legendowy finał na trąbach, którym Jozue roztrącił mury Jerychonu, mniejsza o to. W dzisiejszych czasach nie tylko żadne mury, ale i równowaga polityki europejskiej z pewnością nie byłaby od tego na szwank narażona!

— Przesadzasz!

— Cóż, kiedy wszystkie te pięknie ukartowane projekty wniwecz obróciła okoliczność, że piękna „Cithera” zdecydowała się na ten od tak dawna oczekiwany krok stanowczy wówczas właśnie, gdy ciebie tak nagle zawezwano do Budzina. Jak raz wtedy przyszła prosić o koncesyę, sama jedna, bez świekry. Trudnoż ją było martwić odmówieniem pozwolenia; zkądże biedactwo mogło wiedzieć, że aku-

rat zawezwany zostaleś do Budzina? Przybyła w najlepszej myśli... Tymczasem, zamiast ciebie, los zrządził, że mnie zastała, do mnie się zwróciła z prośbą, ja zaś udałam się do sekretarza, który musiał nam wydać koncesyę, za co Citera zapłaciła przepisane prawem trzy dwudziestki w srebrze. Znajdziesz je zawinięte osobno. I ktoby pomyślał, że z takiej drobnostki zrobisz awanturę? Że będziesz deklamował o zagrożonym spokoju całego państwa, o zachwianym porządku społecznym i innych podobnych głupstwach! Nie wstydzisz się?

— To ostatnie pytanie raczej ja mam prawo tobie zadać. Ilekroć przewidujesz, że tobie może kto uczynić zarzuty, że ma po temu wszelkie prawo i powody, ty zachodzisz z mańki i pierwsza zarzutami sama go zasypujesz, rachując może na to, że gdy ów ktoś zacznie się bronić, łatwo przy tem zapomni o napaści. Tylko, że niestety, dla mnie taktyka twoja nie jest nowością; znam ją dobrze i jestem na nią przygotowany. Nie zapominaj o tem, że mnie, *jako mężczyźnie, wszystko jest dozwolone*. W kodeksie, obowiązującym honor mężczyzny, opuszczono zupełnie wyraz „miłości”; przeciwnie u kobiet. Nawet pozór, nawet żart w tym kierunku jest już występkiem. Czy ty myślisz, że nie doszło do mojej wiadomości, iż to ty sama byłaś ową cudotwórczą alchemistką, która wieniec srebrny, przeznaczony dla Cygana, chcącego się tu dziś popisować ze swoją grą na skrzypcach, przemieniłaś w złoty?

— Ach, więc na odmianę—rola Harpagona?

— A nadto teraz, ty sama masz ten wieniec doręczyć mu podczas koncertu, jako nagrodę od dam! Ładne chciałaś urządzać widowisko!

(Posłyszał już o tem w przelocie, wchodząc na salę, naturalnie od Ollósi'ego).

Aranka zaśmiała się.

— Więc teraz znów rola Don Sylva?

Szymon wyprężył pierś, ile się dało i uczynił z siebie figurę istotnie mocno imponującą.

— Nie sądź pani, żebym był głupcem, które-ryby nie umiał w potrzebie dochodzić swoich praw mężowskich!

Ale i Aranka potrafiła baronowi Szymonowi odpowiedzieć z tego samego tonu.

— Panie! Gdy miałeś mnie pojąć za żonę, wiedziałeś, kogo bierzesz, kim jestem i doskonale mogłeś wnioskować, kim będę. Byłam szczerą względem ciebie, nie ukrywałam przed tobą ani przeszłości mojej, ani charakteru. A jednak ożeniłeś się pan ze mną. Pomimo, że wiedziałeś „wszystko”. Dziś zaś, gdy nic „nie wiesz” tylko, coś niewyraźnie podejrzewasz, chcesz przedemną odgrywać rolę zazdrosnego! To komiczne.

Kategoryczne to oświadczenie wywołało u Szymona zupełnie szczery wybuch cynizmu.

— Ech, moja pani! Bywają rogi, które człowiek do herbu przypiąć może dla ozdoby i chluby; ale żebym ja sobie czoło dekorować pozwolił pióropuszem takiego oto nędznego włóczęgi, wędrownego trubadura jakiegoś, minstrela z nogami do ziemi, a oczyma na księżycu—nie, moja pani. Wolne żarty. Tak nisko jeszcze nie upadłem!

— Ale któż panu powiedział, że ten trubadur miał kiedykolwiek szansę podobania mi się? Na jakiej zasadzie utrzymujesz to tak napewno?

— Jeżeli nie miał jeszcze wszystkiego, co mógłby mieć od pani, to pewno nie skutkiem twojej surowości, lecz raczej swojej własnej głupoty.

Na takie *dictum acerbum* nareszcie cofnęła Aranka dłoń z ramienia mężowskiego.

— Jakim sam jesteś, takimi sądzisz innych. Róźnie sobie co chcesz, zostawiam ci zupełną wolność.

To rzekłszy, odwróciła się do Szymona trenem...

— Nie omieszkam.

Uczyniwszy zwrot na pięcie, przystąpił do zebranego w jedno grono świetnego towarzystwa i zapytał głosem rozkazującym, cokolwiek przez nos, dla większej powagi:

— Kto jest głównym inicjatorem tego koncertu?

U boku jego zjawił się Ollósi.

— Przywołam go natychmiast, Ekscelencyo.

I zniknął napowrót w tłumie.

Natomiast wystąpiła naprzeciw swemu „synowi” baronowa Anna, ze swoim zwykłym, ujmującym uśmiechem na ustach.

— Tylko zobacz, mój kochany, jaki śliczny rezultat zebraliśmy z dzisiejszego koncertu! Mamy tyle właśnie, ile nam potrzeba na wzniesienie domu przytulkowego, mającego być jednocześnie ochronką dla ubogich dzieci.

Szymon odparł na to kwaśno i pochmurnie:

— Szkoda, że państwo nie pomyśleliście wpięrw o założeniu instytucji wychowawczej dla dorosłych, osieroconych od zdrowego rozsądku pastryotów, którzy pracują tylko nad tem, ażeby nieporządki w kraju wywoływać. Taki zakład o wiele pilniejszym i potrzebniejszym byłby tu od wszelkich ochronek.

Ollósi powrócił do jego Ekscelencyi w towarzystwie hrabiego Zoltana.

Zoltan z zimną krwią zapytał brata:

— Co rozkażesz, Ekscelencyo?

— Ty jesteś inicjatorem tego koncertu?... Właściwie nie z tobą chciałem mówić, ale z muzykantem.

Pan Ollósi ruszył brwiami i oczy szerzej otworzył...

Aha. Jest to także rodzaj Phaedonsowego polowania: nie szuka się samego lwa, tylko jego tropu.

* — Przyślę ci go zaraz — odparł cierpliwie Zoltan.

I poszedł poszukać Paola.

Przed Szymonem dreptał wciąż Ollósi.

— Mój najmilszy panie Ollósi — rzekł mu Ekscelencya ze słodyczą, w której drgała wściekłość — będę cię prosił jeszcze o jeden dowód życzliwości. Mianowicie, racz się pan wynieść stąd dla mojej miłości na cztery wiatry, gdzie cię oczy poniosą!

Rzecz prosta — nie złożyć tego dowodu życzliwości dla jego Ekscelencyi — pan Ollósi nie mógł; zatem usunął się z sali, ale pomimo to ręczyć śmiało można, że wszystko, co dalej nastąpiło, równie dobrze widział i słyszał, jak przedtem. Albowiem sprawny reporter, jeżeli już w żaden sposób sam zmieścić się gdzie nie może, to przynajmniej oko i ucho tam posyła.

W chwilę potem stanął przed Szymonem Paolo.

— Jestem na wasze rozkazy, Ekscelencyo.

Baron Szymon potrzymał mu przed oczyma program.

— Kto ułożył to *menu* muzyczne?

— Ja sam.

— Kiedy przedstawiłeś pan to cenzurze?

— Trzy dni temu.

— Dołączona była przy tem treść tekstu tych pieśni?

— Złożone były razem nuty z wierszami, które stanowią tekst, służący do śpiewu.

— No, to ten cenzor chyba zmysły postradał, że coś podobnego przepuścił i podpisem swoim upoważnił. Ale—ja tu jestem i kategorycznie zakazuję panu interpretowania tych bredni!

— Ekscelencyo, racz zwrócić uwagę, że może już zapóźno na cofanie programu; publiczność się już zbiera, a żartować z niej w ten sposób może nie wypada. Zresztą ja wszystkie te utwory przecież w samym Wiedniu nieraz grywałem i to w obecności najwyższych dostojników, którzy jakoś nie dopatrywali się w tem nic złego.

— Bardzo wierzę; w Wiedniu mogli panu na to pozwolić, ale nie tutaj. Wszak i papierosy palić wolno wszędzie — w prochowni jednak — nie wolno!

— Ale kiedy ja te same marsze, pieśni, czardasze i tutaj, w naszym mieście grywam także w miejscach publicznych, i nikt mi tego nie wzbrania.

Jego Ekscelencyę do reszty wywiodło z równowagi to, że nędzny cygan ośmiela się mieć słuszność! Niechby ją sobie miał zresztą, ale nie wtedy, kiedy z nim rozmawia. Popadł w pasyę, której, co prawda, nawet nie uważał za potrzebne hamować.

— Ze mną nie wąż się sprzeczać, cyganie! — zawołał. — Skoro jesteś cyganem, bądź cyganem, nie pnij się wyżej! Chodź po karczmach, po kawiarniach i graj tam wszystko, co ci goście grać każą za swoje szóstaki, które ci na talerz rzucają, gdy

od stolika do stolika po honorarium wędrujesz! Ale jeżeli z temi orderowemi znakami wystąpić masz ochotę w teatrze, przed wyborową publicznością, na koncercie, gdzie każde miejsce jest płatne, to poddawaj się rozporządzeniom władzy. Programu tego nie wykonasz dzisiaj!

To rzekłszy, dramatycznym ruchem rozdarł program na cztery części i rzucił go artyście pod nogi...

— Pomówię z gospodarzami koncertu, od których zmiana będzie zależała—rzekł Paolo, wzruszając ramionami.

— Nie kryj się tylko swoim zwyczajem za sztańce kobiecych sukien!—dorzucił za nim obrażające słowa baron Szymon, głosem pełnym pychy i wyniosłości.

— Z mężczyznami, z gospodarzami pomówię—odwracając się, odparł spokojnie Paolo.

To rzekłszy, zmieszał się z towarzystwem i zniknął w tłumie.

Baron Szymon tymczasem coraz się bardziej zaogniał się własnem rozdrażnieniem.

— Taki cygan zawsze się zdradzi ze swoją naturą: szydło z worka zawsze wyleźć musi. Dlatego, że wykarmiono nas w dzieciństwie jednym mlekiem, taki oto szubienicznik śmie ząb za ząb ze mną się ucierać. Poczekaj chłystku. Zgotuję ja ci owacę. Spadnie ci na głowę wianuszek, który moje ręce dla ciebie uwijają!

Z pewnego kącika z wielką uwagą przyglądała mu się Manga.

— Ojej, jakiś ty brzydki, kiedy się tak gniewasz. Żeby cię aby w takiej chwili nie widziała żona! Mógłbyś nie zgrzytać zębami w ten sposób.

Szkoda, że ci nie mogę przypomnieć o tem, że Bóg zapomina o tych, którzy się tak złoszczą.

I pana Ollósi'ego główka wychylała się od czasu do czasu z po za portyery, przysłaniającej jedną z framug okiennych.

Wzdychał z głębi ducha:

— Ach, jakieżby to był rozkoszny artykuł o dzisiejszym wieczorze, gdyby nie cenzura. Pewno go wymażą! Ale i do paszkwilu wcale nie zły nadarza się temacik.

Tymczasem nagle, chociaż nie głośno i wcale nie zwracając na siebie ogólnej uwagi, wpadł do foyer listonosz, z ogromną torbą na rzemieniu zawieszoną przez plecy i w pośpiechu depcząc niemiłosiernie po odciskach stojących mu na drodze, dopadł do jego Ekscelencyi, salutując mu po wojskowemu.

— Ekscelencyo. *Express* depesza.

To rzekłszy, otworzył torbę i wydostał z niej księgę kwitunkową, tudzież duże pismo w błękitnej kopercie, opatrzonej urzędową pieczęcią.

Miał przy sobie pod ręką także kałamarzyk i pióro i wszystko to gotowe podał naraz baronowi Szymonowi, zgiąwszy się w pałąk w ukłonie.

Ale cóż, kiedy jego Ekscelencya był obecnie w takim usposobieniu, jakgdyby go kto podszewką na wierzch wyrzucił.

I listonoszowi nie upiekło się—musiał i on odczuć zmianę temperatury

— Tam do dyabła. Cóż to! Nawet w teatrze spokoju mi nie dajecie, aż tutaj za mną z depeszami wędrówka? Depeszę do mnie zaadresowaną wręcz naczelnikowi komitatu, niechaj on za mnie z odbioru pokwituje. Co innego mam teraz na głowie.

Więc listonosz udał się do pana Lebeguta.

Dla tego ostatniego miał on także w swojej torbie *paksametę* zupełnie podobną, jak dla barona Szymona.

Wręczył mu obiedwie, wraz z umaczaniem już w atramencie piórem.

Pan Lebegut odebrał obydwie te listy i sam zapisał w kwitunkowej księdze nazwisko swoje, tudzież barona Lenke.

Listonosz odszedł sobie.

Nikt ani podejrzewał, że w chwili tej właśnie odwróciła się jedna z najznacniejszych kart historii naszego kraju.

Lebegut wiernie przedstawił baronowi Szymonowi odebraną depeszę.

— *Dignetur excellentissime!*

Szymon ze złością niemal wyrwał mu list z ręki i nierozpieczętowany schował sobie do bocznej kieszeni bonżurki.

— Przeczytam to w domu.

Lebegut zaś powrócił do żony, i wraz z nią stanawszy pod kinkietem przy ścianie, porządnie scyzorykiem rozciął kopertę swojego listu i zaczął treść jego szybko przebiegać oczyma.

Im dalej czytał, tem osobliwiej twarz mu się wydłużała, odemknął usta i złożył je mimowoli, jakby do gwizdania, oczy zaś, okrągłe już z natury, wytrzeszczył tak silnie, iż zdawało się, że wyskoczą mu z orbit.

Następnie zwrócił się do pani Fruziny i milcząc, na migi, opowiadać jej zaczął treść listu. Już się oboje wybornie zrozumieli.

Te ruchy, pokazujące kołnierz wystający, oznaczają „ministra”, ręka, półokrągło nad głową wzniesiona, a potem nagle spuszczone, „wszystko się zmie-

niło na świecie", i na koniec kiwanie rękoma z góry na dół, „nie będziemy tu już mieli co robić; przepędzą nas wszystkich, gdzie pieprz rośnie.”

Mimika pani Fruziny w odpowiedzi na to zdradzała ogromne przerażenie. Cóż się z nami stanie? Cóż pocniemy, gdy nas ztąd usuną? Znow się weźmiemy do harfy i klarynetu?

Ale pan Lebegut uspokoił swoją małżonkę przekonywającami gestami.

Nie będą potrzebowali brać się do harfy i klarynetu, gdyż będą otrzymywali nadal pensję taką, jak i dotąd, tylko poprostu założą sobie ręce i nie będą robili.

Więc pani Fruzina rozpogodziła czoło i odzyskała swój zwykły wygląd istoty najbardziej spokojnej i zadowolonej ze wszystkich na świecie.

Na tę ich rozmowę nikt z towarzystwa nie zwracał uwagi, gdyż każdego oczy przykute były do barona Szymona.

Każdy z natchnieniem śledził, co też baron uczyni?

Jednego tylko pana Ollósi, śledzącego wszystko z po za swojej portyery, nie uszła baczności wymiana myśli obojga małżonków. Był na tyle sprytnym, że umiał ją sobie przetłómaczyć na język, zrozumiały dla siebie.

Hrabia Zoltan Bárdy tymczasem przysunął się do barona Szymona, wraz z kilku innymi wybitnymi osobnikami.

Szymon Lenke cofnął się od nich o kilka kroków.

— Proszę najuprzejmiej, ja z panami nie mam nic do mówienia. Do żadnych układów nie jestem skłonny, a daremnych dysertacyj nie lubię.

Więc Aranka zbliżyła się do męża, lecz i z nią nie chciał rozmawiać.

— Baronowo, pani miejscem w teatrze jest loża. Nie zapominaj o tem, że minęły już czasy, kiedy występowałaś na scenie i role odgrywałaś.

Baronowa Anna podeszła do swojego syna.

— Synu kochany, miejże wzgląd na damy. Zebrane tu widzisz osobistości najwybitniejsze, najwięcej poważania godne w całym naszym kraju; każdy spogląda na ciebie z prośbą, nie dopuście do tego, aby spoglądali z zawiścią.

— Hrabino! Nie jestem stworzony do roli Koryolana. Dla tych pięknych oczu, które raczą na mnie spoglądać, trudno mi jest narażać całą moją karierę. Najuprzejmiej upraszam panią hrabinę, ażeby mnie raczyła zostawić w spokoju. Niech hrabina o tem zechce pamiętać, że ja nic nikomu nie zawdzięczam, oprócz chyba tych kilku kropel nieokielzanej krwi, która w moich żyłach płynie. Czem jestem — tem sam siebie stworzyłem. Własnym siłom, własnej pracy realnej winien jestem swoje stanowisko i nie myślę go stawiać na kartę dla czyichś waryackich mrzonek.

Była to obelga, rzucona w oczy całemu towarzystwu.

Zoltan nie mógł zmilczeć — stanął przed Szymonem.

— Panie, obrażasz pan kobiety!

— Mówilem tylko do mojej matki.

— Która jest również i moją matką!

Przykrą tę i w najwyższym stopniu naprężoną scenę przerwało wejście Paola.

Wszystkie twarze, ile osób było na sali, nosiły ślady silnego podniecenia, jeden tylko Paolo

Barkó zachował zwyczajny swój, melancholijny trochę, rozmarzony spokój, chłód i stanowczość.

Przystąpił też blisko do Szymona i spojrzał mu w oczy. Spojrzenia tego Szymon znieść nie mógł...

A jeszcze dodać do tego trzeba wykwintny, pełen bezwiednej wyższości sposób, w jaki ten cygan przemawiał do pana, arystokraty z rodu.

— Ekscelencyo. Zastosuję się do rozkazu, jakiego raczyłeś mi wydać. Nie zapomnę o tem już nigdy, że jestem prostym cyganem, i od jutra w mieście, w którym zamieszkuję, pełnić zacząę obowiązki pospolitego *primása* ¹⁾ bandy. Będę grywał w karczmach, w kawiarniach, w miejscach spacerowych, repertuarem moim postaram się zawsze czynić zadosyć gustowi i rozkazom gości, a pieniądze za trudы zbierać będę, jak inni cyganie zbierają, na talerz, chodząc od stołu do stołu. Lecz *dzisiaj* do

¹⁾ Niejeden z czytelników napewno za bajkę weźmie opisany przezemnie fakt o słynnym na całą Europę artyście, który po powrocie do rodzinnego kraju został napowrót tem, czem był niegdyś — *primásem* bandy koncertujących cyganów. Otóż pozwolę sobie tu przytoczyć ciekawy przykład takiego przywiązania do ojczystej ziemi, z życia osławionego Paola Rácz'a I-go. I on był honwedem w r. 1849, poczem wyjechał za granicę. Swoją grą na skrzypcach zbierał we Włoszech bajeczne tryumfy — był istotnie znakomitą wirtuozem. Miasta wydzierały go sobie nawzajem i przesadzały się w owacyach dla niego. W liczbie wielu kobiet, szalejących za nim, znalazła się dystygnowana dama, hrabina włoska, która zakochawszy się w nim, ofiarowała mu swoją rękę. Małżeństwo ich pobłogosławione zostało dwojgiem dzieci, chłopcem i dziewczyną. Naraz artyście serce zaczęło nie dawać spokoju z tęsknoty za ojczyzną. Wrócił, żona towarzyszyła mu wiernie razem z dziećmi. Aliści u nas, w naszej węgierskiej ziemi, dostrzegła niebawem odrośl znakomi-

mnie jeszcze należy! Od godziny siódmej wieczór do dziesiątej — sam sobie jestem panem, i nie rozkazuje mi tutaj nikt inny, jeno szanowna publiczność, ta, dla której dzisiaj podjąłem się grać o tej porze. I odegram bez żadnej zmiany to, co jest wydrukowane w programie. A potem—jego Ekscelencyi będzie wolno uczynić ze mną wszystko, co w jego mocy będzie.

To rzekłszy, odwrócił się na pięcie i wyszedł z foyer na scenę.

Twarz Szymona aż świeciła się od gniewu, jak gdyby była ulana z miedzi, i zraszał ją gęsty pot.

Gdy mówił, głos mu się urywał w piersi.

— Takiego zuchwalstwa jeszcze świat nie widział i nie słyszał! Twierdzisz, że nikt ci tu rozkazywać niema prawa, tylko publiczność, jedyna twoja pani? Czekaj ty, cyganie! Otóż pokażę ci właśnie, że nietylko ciebie samego, ale i tę wielmo-

tęgo rodu włoskiego, że jej małżonka, tak uwielbianego po całym świecie, nikt tu nie traktuje inaczej, jak pospolitego, a tylko zdolnego i sławnego primása cyganów. Ogromnie to bodło jej ambicję, do tego stopnia, że zapragnęła powrócić do swego rodzinnego zamku. A ponieważ primás cygański nie chciał zamienić swojej słomą krytej strzechy na ówże bogaty zamek, więc za wspólną zgodą rozstali się spokojnie i wzięli rozwód. Paolo Rącz sam odprowadził na kolej swoją byłą żonę, z dwojgiem dzieci, które prawo przyznało hrabinie. Gdy pociąg już ruszał, ojciec jeszcze ostatnim pocałunkiem żegnał wychylonego przez okno wagonu chłopczyka, a ten, uchwyciwszy ojca za szyję, został w jego objęciach. Pociąg odjechał, uwożąc matkę i córkę. Paolo Rącz ożenił się potem powtórnie — i miał z drugiej żony *drudziestu dwóch synów!* Wszystkim dał nader staranne wychowanie, wy kierował ich na panów, lecz skrzypce po nim i geniusz jego odziedziczył Paolo Rącz II-gi, syn włoskiej hrabiny. Tacy są węgierscy cyganie!

zną panią swoją, przezacną publiczność razem z tobą za drzwi wyproszę!

Po sali powiał prąd powszechnego oburzenia.

Hrabia Zoltan wystąpił przeciwko tak nietaktownie poczynającemu sobie przedstawicielowi władzy.

— Spróbuj pan to uczynić — rzekł głosem spokojnym, ale stanowczym — lecz wiedz, że będziesz potem odpowiedzialnym za to, co może nastąpić.

Szymon za daleko się zapędził, zbyt silny gniew nim miotał, ażeby się mógł powstrzymać lub cofać.

— Z całemi należnemi względami, jakie mam dla państwa, proszę, ażebyście odebrali sobie w kasie to, co które z was za bilet zapłaciło, i ażebyście porozchodzili się do swoich domów. A jeżeli grzecznej tej prośby mojej nie posłuchacie, nie zbraknie mi urzędowych narzędzi, któremi was zmuszę do wykonania mojej woli. Tego zaś bezczelnego wichrzyciela wywołkę za kołnierz z po za babskich sukien!

— Jesteś pan nędznikiem! — zawołał Zoltan, przestając panować nad sobą. — Jakiem prawem ośmielasz się znieważać kobiety?

Otrzymany epitet wstrząsnął nareszcie Szymonem.

— Pan śmiesz nazywać mnie nędznikiem? — krzyknął, tupiąc nogą. — Dziękuj pan Bogu, że jesteśmy braćmi!

— Staliśmy już raz, bracia, z orężem w ręku naprzeciw siebie. Zwołaj pan policję. Możesz. Masz do tego prawo. Ale my dobrowolnie ztąd nie ustąpimy, będziemy się bili. Zobaczymy, czy bę-

dziesz pan miał odwagę wyjść ztąd po mojem cieie, gdyż ja będę na czele!

Dokoła Zoltana zebralo się wielu innych mężczyzn, a byli między nimi i starcy w deliach, imponujący powagą, wiekiem, siwemi brodami. Żaden nie odzywał się ani jednym słowem, lecz wszyscy stali gotowi do czynu.

Naraz—ze strony, z krórej najmniej można się było spodziewać podobnego wystąpienia, przybyła Zoltanowi odsiecz.

Pan Mikulaj zacisnął pokaźne swoje pięście, i wzniosłszy kapelusz ponad głowy obecnych, jął wykrzykiwać energicznie swoim, z cudzoziemska zarrywającym akcentem:

— Pan hrabia ma słuszność. Co do litery! Zapłaciliśmy rzetelnie za bilety wejścia. Chcemy usłyszeć to, na co nie pożalowaliśmy pieniędzy. Wypędzać publikę z teatru? Hoho! Nie tędy droga do Budy, mój panie. Nie jesteśmy w żadnym dzikim kraju; nie można z nami w ten sposób postępować, Ekscelencyo!

Żona jęła go uspakajać.

— Pal sześćkroćtysięcy! To niech mnie ztąd przepędzą. Wolę drzewo rąbać, niż kark zginać przed takimi.

Wszyscy zdumieli.

Więc nawet ten oto, obcy, morawianin, a jednak wybuchał!

Krew mu zawrzała na widok idyotycznego tyrana, powstającego przeciw własnej krwi! Krzyki, protesty, głośnie oburzenia posypały się chórem ze wszystkich stron salonu.

Jeden tylko pan Balambér zachowywał dyplomatyczne milczenie.

Wziął swoją żonę na stronę i szepnął jej po cichu do ucha:

— Wynieśmy się ztąd oględnie, żoneczko. Tu się na coś niedobrego zanosi!

Wysuwając się z sali, wpadł niechcący na ukrytego za portyerą pana Ollósi, więc poprosił go pięknie:

— Mój złoty panie kochany... jeżeliś i mnie wymienił w sprawozdaniu, wymażże to czempredziej... Nie było mnie tutaj, nie widziałeś mnie wcale!

Baron Szymon włożył kapelusz na głowę i schwylił Aranę pod rękę.

— Chodźmy ztąd! Dyskutować tu z nikim nie warto, na słowa czasu szkoda — zaczniemy działać!

Baronowa Anna przypadła do niego ze złożoneimi rękami, a chwiejąc się na nogach z wielkiego wzruszenia, osunęła się przed nim na kolana.

— Szymonie! Nie zapominaj, że jesteś moim synem! Błagam cię w imię Boga!

— Dla mnie nie ma nic ponad obowiązki mojego stanowiska! Ustępować przed niemi muszą wszelkie wężły pokrewieństwa.

Słowa te były pchnięciem sztyletu dla serca matczynego.

Obie ręce kurczowo przycisnęła do piersi i była blizką zemdlenia.

— Boże! — zawołała, lejąc łzy obfite. — Ześlij mi śmierć nagłą! Niechaj nie doczekam końca tej godziny. Przecież tak często zdarza się słyszeć, że z wielkiego bólu serce komuś pękło, a jednak większego bólu nad ten, którego ja w tej chwili doznaję, chyba na świecie być nie może! Zabij mnie, Boże! lub sama śmierć sobie zadam! Czemuż tak krwa-

wemi łzami opłakać mi przychodzi grzech, żem tego człowieka na świat wydała?...

Wówczas stała się rzecz niesłychana.

Silą pięści rozpychając osoby otaczające i podtrzymujące hrabinę Annę, Manga stanęła tuż przed nią.

Na twarzy jej nie znać było obawy: nie miała nic do stracenia, a skóra cygańska jest twarda, nie lęka się bata.

— Niech jaśnie pani przestanie rozpaczać i po próżnicy łez nie wylewa — mówiła głosem podniesionym, tak, że wszyscy stojący dokoła wybornie ją słyszeli. — Nie na ciebie gniew Boski i wstyd przed ludźmi spada za urodzenie tego potwora, albowiem matką jego jesteś nie ty, ale ja! Tak jest, moim on synem. Na mnie ciąży przekleństwo za czyn niegodziwy, który mi złe duchy podszeptały owej strasznej nocy... Dwóch nowonarodzonych chłopców, swojego i twojego zamieniłam, myśląc, że tem zapewnię szczęście mojemu dziecku. Twoim synem jest tamten, poczciwy, dobry, piękny i sławny artysta. Ten zaś z Gehenny rodem niegodziwiec, to mój syn! Myślałam, że gdy wilczego szczeniaka podrzucę do lwiej jaskini, to lew z niego wyrośnie! Ale oko Boskie czuwa nad wszystkim: dobre hojnie nagradza, za złe odwetem płaci. Ze szczeniaka wilk wyrósł, który wszystkich kąsa, a mnie Bóg aż dotąd użył życia, abym widokiem jego zdrożności zaznała pokuty, a wyznaniem prawdy choć w części naprawiła swoją winę i pyszałka tego upokorzyła.

Głęboka cisza zaległa dokoła.

— Oszalała ta stara cyganka! — zawołała Aranka z gniewem — co ona tu robi?

Szymon udawał, że go zimna krew nie opuściła wcale.

— Łaskawy panie naczelniku komitatowy! Każ pan ująć tę beczelną babę i polaskotawszy, jak przynależy batami, wyrzucić ją za rogatki miasta!

Na te słowa rzuciła się ku niemu cyganka z wściekłością, oczy jej krwią naciekły, a usta bieliły się pianą.

— Mnie każesz biczować i za obręb miasta wyrzucać, mnie, swoją matkę?! Oh, ty nędzny niegodziwcze, chcesz na sobie wypróbować siłę przekleństwa matki cyganichy? Ty wydmuchana żabo, co pękasz ze złości i pychy! Jak ja cię nadepnę, flak z ciebie zostanie, którym wszyscy pogardzą!

Szymon w zapamiętałości gniewu pięść podniósł, ażeby tę kobietę uderzyć.

Rękę jego jednakże przytrzymał w powietrzu Zoltan.

— Pan chcesz uderzyć *kobietę*? Nieszczęśliwą *waryatkę*? Jesteś, czy nie jesteś szlachcicem?

Słowa te opamiętały Szymona.

Na doskonały wpadł pomysł Zoltan i wybornie przysłużył się Szymonowi, rzucając podejrzenie na poczytalność zmysłów starej cyganki.

— Panie naczelniku komitatowy! Każ pan tę oszalałą cygankę związać i zawieźć do szpitala, aby ją przyjęli do oddziału obserwacyjnego — tymczasem. Potem oddać ją do domu obłąkanych na koszt rządu.

Pan Lebegut tymczasem stał sobie spokojnie, niczem z tego, co się przed jego oczyma rozgrywało, nie alarmując się zbyt.

Na interpelację Szymona, splótł ręce na brzuchu i dwoma wielkimi palcami kręcąc młynka, odparł kategorycznie:

— Tego nie uczynię. Rzec mogę stanowczo, że nie uczynię.

Baron Szymon aż usta otworzył z podziwu na taką odpowiedź.

— Co? Jakto? Co słyszę. Pan się opierasz moim rozporządzeniom? Śmiesz nie słuchać moich rozkazów?

— *Pro primo, pro primo*—mam honor zawiadomić pana barona, że obecnie już nikogo nie potrzebuję słuchać, nikogo słuchać już nie potrzebuję. Albowiem oto właśnie przed chwilą otrzymałem uwolnienie od służby, uwolnienie od służby, odrazu i natychmiast, odrazu i natychmiast. *Pro secundo* zaś, *pro secundo*, pan baron ze swojej strony już nikomu tutaj nie rozkazuje. Gdyby pan baron był raczył przyjąć sam i roztworzyć urzędowe pismo, zaadresowane do siebie, zaadresowane do siebie, to byłby się był przekonał, że czasy jego minęły, czasy jego minęły. I pana także ztąd eksmitują, eksmitują, *cum honore, cum honore*. Ministeryum zrezygnowało, ministeryum zrezygnowało! Nowi ludzie nastaną po nas, nastaną po nas, a my tu jesteśmy już zbyteczni, jesteśmy już zbyteczni. Jeżeli pan baron będzie sobie życzył, będzie sobie życzył — pojedziemy sobie *per company*, pojedziemy sobie *per company* do Czaslau, do Czaslau.

Wszystko to dzielny człowieczek wypowiedział z właściwym sobie, jowialnym humorem.

Szymon podobnym był do zahypnotyzowanego medyum, które machinalnie, odruchowo rozkazy swojego hypnotyzera wypełnia; z wyrazem osłupienia w oczach wyjął z bocznej kieszeni niedbale tam wsunięty list w błękitnej kopercie, odpieczętował go, rozłożył i przeczytał.

W liście pisano co następuje:

„Na skutek Najwyżej zatwierdzonego dyplomu z miesiąca października, przywracającego municypia węgierskie, składamy Waszmość Pana z nieużytecznego już urzędu Naczelnika Okręgu, zachowując mu prawa do całkowitej emerytury—na zawsze.”

Na ważnej doniosłości tym dokumencie podpisaną była—kancelarya węgierska.

Szymon złapał się za głowę.

— Odrzucili mnie, wyrzucili, jak kaftan, którego krój z mody wyszedł!... Te same ręce, które mnie tu na piedestał wyniosły, które bożyszcze za mnie uczyniły, aby mu wszyscy bili pokłony i aby tu wszystkim trzęsło, dziś — druzgocze mnie i w proch ściera!... Byłem, istniałem, lecz teraz mnie już nie ma. Dziś jeszcze, przed chwilą, każdy drżał przedemną; i dziś jeszcze, poczynawszy od tej chwili—*ja* będę drżał przed każdym. U stóp moich się włóczyli, pięty moje lizali, a jutro — w błocie unurzane swoje podeszwy o mnie będą wycierali! Skoro mnie już pogrzebano — czemuż umrzeć nie mogę? Dlaczego *ja* jeszcze żyję?...

Sam nie zdawał sobie sprawy z tego, czy słowa te przewinęły mu się tylko przez myśl, czy też do Aranki je powiedział? Może głośno, albo też może tylko w duchu odpowiedziała mu na nie Aranka:

— Czemu przybyłeś tu, jak szalony? Dlaczego nie zostałeś na naradach w Budzinie?

Nie wiedział, co się dokoła niego dzieje, słyszał tylko niewyraźny jakiś szum, jakby spienionego morza: był to pierwszy swobodny oddech uciśnionych, którym zdjęto pęta, połączony z radością z pogwałcenia tyrana, który im te pęta barbarzyńsko zaciskał, i z zadosyćuczynienia, jakie im nakoniec los na niego zesłał. Czuł, iż szum ten i sze-

pty, jest to otchłań, w którą on z każdą chwilą coraz głębiej zapada.

Zrozumiał, że nie ma już nic do stracenia; naraz owładnął nim szal jakiś. Zamachnął się i wybrnął znów ponad fale. Hardo głowę odrzucił.

— Więc dobrze! Skoro już nie jestem ani naczelnikiem okręgu, ani bratem pana hrabiego — to mogę zażądać od niego rachunku za obrazę, za obelgi, jakie mi tu beczelnie w oczy cisnął.

Ogarnęła go odwaga, jakiej nigdy nie doświadczał i pragnienie śmierci.

— Jestem na pańskie usługi — oczekuję świadków. Wybierz pan, kogo chcesz.

Szymon rozejrzał się dokoła.

Nie był pewny, czy znajdzie się kto w tem towarzystwie, ktoby mu chciał oddać podobną przysługę.

— Hrabiego Ingoványi proszę, aby zechciał być po mojej stronie.

— Ja zaś pana meceńasa Kalászi.

Obaj wymienieni panowie usunęli się na stronę, ścisłym głosem naradzając się.

Aranka odetchnęła z głębi piersi z pewnym odcieniem zadowolenia:

— Nakoniec, przecież chociaż raz czyn prawdziwie mężki! Żeby się tylko nie cofnął do jutra rana!

Baronowa Anna ukryła w dłoniach zapłakaną twarz.

— Oh, jakież to dzień okropny!

Panowie Ingoványi i Kalászi wyszli z framugi, gdzie się naradzali, i każdy z nich przybliżył

się do swego klienta, ażeby mu coś szepnąć do ucha.

Szymon i Zoltan, milcząc, skinieniem głowy dali znak, że się zgadzają na punkty umowy swoich sekundantów.

Sprawa została wtoczona w bieg zwyczajny w takich razach.

Stara cyganka nie mogła przewyciężyć nurtującego w niej uczucia tryumfu.

Przysunawszy się do upadłej wielkości, kładła mu w uszy swoje morały:

— A co! A widzisz! Czy nie pękła twoja potęga, jak bańka mydlana? Czy nie dosięgnęło cię przekleństwo matki twojej, sponiewieranej cyganki — i to odrazu, natychmiast? A ty jeszcze śmiesz wyzywać do walki tego szlachetnego pana? Oh, błogosławioną będzie broń, która twoją *czarną krew* przeleje!

Szymon zadrżał. Był zabobonny. Już doznał na sobie siły dmuchnięcia tej czarownicy starej; uwierzył, że na kogo ona się rozgniewa, ten na pewno dozna nieszczęścia.

Wszakże on sam był igraszką w jej rękę: z zaczarowanego księcia z bajki — stał się naraz robakiem, przez wszystkich pogardzanym, a zarówno owym księciem zaczarowanym, jak i robakiem teraz—nikt inny, tylko ona go uczyniła!

Jak wyzwanie, tak i wszelkie okoliczności z niem połączone, odbywały się publicznie.

W całym towarzystwie zapanowało męczące skrępowanie.

Naraz przygnębiający ten nastrój przerwany został wejściem osoby, o której nikt na razie nie pamiętał. Zadyszana od pośpiechu, z zarumienio-

nem liczkiem wbiegła na salę pomiędzy zebranych Citera z nutami w ręku.

Swobodny wyraz jej twarzy zdradzał, że nie wie jeszcze o niczem, co się tu stało przez czas jej nieobecności. Zwracając się do Aranki, która jakoś najbliżej drzwi stała, rzekła do niej tym świeżym świegotem młodego ptaszka przypominającym głosem:

— Oto jest walc *Il baccio* Arditiego. Znalazłam go odrazu. Musiała go jej ekscelencya śpiewać dzisiaj, ponieważ rozłożony był na pulpicie fortepianu.

Wywołało to silne wrażenie na wszystkich.

Aranka, drżąc z gniewu i pomieszanja, brutalnie odtrąciła rękę cyganki, podającą jej przywiezione nuty. Została zdradzona przed całym towarzystwem, że miała tu śpiewać i jeszcze w dodatku — walca *Il baccio*. Dla kogo?!

Śzymon roziskrzonym wzrokiem głęboko zająrzył w oczy żony.

Manga z dziką wściekłością obie ręce zaciśnięte w pięści uniosła do góry.

Baronowa Anna z załamanymi rękami upadła na pierś Zoltana.

Zawrzało w salonie, jak w ulu.

A pomiędzy temi, oburzeniem przejętymi twarzami stała, nic złego nie przeczuwająca śliczna, śniada cyganeczka młoda, z pocziwym uśmiechem na okrągłej, zarumienionej buzi, szybko oddychając z wielkiego pośpiechu.

Dopiero zdziwiona nieuprzejmem znalezieniem się Aranki, rozejrzawszy się uważniej dokoła, dostrzegła silne wzburzenie na twarzach wszystkich obecnych.

Uśmiech zamarł jej na ustach, oczy otworzyła szeroko z wyrazem zaniepokojenia i przestachu,

aż ujrzała barona Szymona, stojącego obok Aran-ki. Wówczas dopiero zrozumiała nagle, niby za raptownem oświeceniem błyskawicy, w jakie to straszne niebezpieczeństwo wtrąconą została przez jej ekscelencyę, i to, że cudem niemal uniknęła zgubnych jego skutków.

Ze wstrętem i wzdargą rzuciła Arance do nóg nuty i przytuliwszy się do Mangi, w fałdach jej chusteczki ukryła rumieńcem oburzenia zapłonioną twarz.

Szymon gwałtownym ruchem schwycił Aranę za rękę i pospiesznie opuścili salon.

W pośrodek tej wysoce dramatycznej sytuacji wpadł najniespodziewaniej jeden z najprozaiczniejszych ludzi na świecie: pan inscenizator.

— Panie i panowie, ośmielam się adresować do was najuprzejmiejszą prośbę, ażebyście raczyli pozajmować wasze miejsca w łóżach. Nasz ceniony artysta przynagla, twierdząc, iż wielka już pora koncert rozpocząć.

Paolo Barkó, jak wiadomo, odszedł za kulisy natychmiast po uroczystem wypowiedzeniu swego ultimatum; nie przeto nie wiedział o tem, co zaszło po jego oddaleniu się z *foyer*.

Zebrani zaś panowie pomyśleli troskliwie nad tem, żeby aż do samego ukończenia koncertu nikt się do niego nie przecisnął taki, ktoby przydługim językiem manipulując, wypaplał przed nim, jakie doniosłe zmiany na świecie zaszły w ostatniej godzinie. Ze wzruszenia i przejęcia mógłby się uczuć niedysponowanym do grania...

Odcięto go przeto hermetycznie od publiczności na całe dwie godziny. Nawet Citery do niego nie puszczono.

Pana Ollósi zaś zamknięto na dwa spusty w jednej z garderób teatralnych.

— I cóż teraz zrobimy ze złotym wieńcem?—
pytała się wice-prezydująca.

Ale inscenizator umiał się znaleźć w kropce,
odpowiadając w imieniu artysty:

— Pan Paolo Barkó wyraził życzenie, ażeby
wieńiec ten przetopić i za cenę jego wartości za-
kupić dla małych wychowalców ochrony ciepłą odzież
na zimę.

Rozpoczął się koncert.

Paolo Barkó grał tego wieczora tak pięknie,
z takim natchnieniem, jak go jeszcze nigdy nikt
nie słyszał.

Że się podczas koncertu teatr nie zawałił od
grzmotów oklasków, tudzież burzy przywoływań i wi-
watów na cześć artysty, to już chyba jedynie dlate-
go tylko, że widocznie budowniczy był przezorny
i zbudował go masywnie.

ROZDZIAŁ IV.

Dzień naodwrot.

Kiedyindziej byłby może większy efekt był wywołał skandal, którego ofiarą padł Szymon Lenke, z powodu grubiańskich słów, tudzież ważnego oświadczenia, jakie cyganka publicznie mu w oczy rzuciła.

Ale przedewszystkiem dla znacznej większości wyjaśnienie Mangi nie było odkryciem tajemnicy. Od dawien dawna ci i owi szeptali między sobą, że Szymona i Paola zamieniła w kolebce ich wspólna karmicielka, cyganka. Nie bez tego nawet, żeby pogłoski te nie odbiły się o uszy samego Szymona i kto wie, czy nie ztąd właśnie brała źródło jego bezgraniczna nienawiść do cyganów.

Dlatego prześladował ich tak zawzięcie, jak gdyby chcąc demonstrować, że w nim samym nie ma nic cygańskiego. Starą Mangę był zdolny na stos skazać za jedno promienne uśmiechem spojrzenie, jakim nieraz na niego patrzyła.

Nadmierna wrażliwość jego na tym punkcie denerwowała go i czyniła podejrzliwym, z oczu każdego człowieka wyczytywał myśl ukrytą, tam nawet, gdzie jej wcale nie było:

— Pomimo to niczem innym nie jesteś, jak prostym cyganem!

Wściekał się na Paola zato, że arystokracja go tak ceni i rozrywa, najprzykrzejszem zaś było dla niego to, iż baronowa Anna i hrabia Zoltan każdą sposobność w lot chwytają, aby mu dawać dowody swojej sympatii, tudzież uznania.

Zupełnie wyglądało na to, jak gdyby podejrzewali możliwość tej niestworzonej plotki i forytowali go na wszelki przypadek, gdyby rzeczywiście był zamienionym synem i bratem! Nie mogło mu się pomieścić w głowie, aby wszystkie laury, jakie Paolo zbiera, były jedynie owocem jego wielkiego talentu.

Baronowa Anna rzeczywiście także coś posłyszała o owej rzekomej zamianie dzieci w kolebce, lecz nie dawała temu wiary. W każdym razie wielkiem uspokojeniem dla jej ducha było to, że Paola, cyganiaka, od dzieciństwa zawsze tak kochała, jak własne dziecko rodzone, prawdziwie jak trzeciego syna.

Gdy go we wczesnem jeszcze dzieciństwie z domu zabrano, zawsze troszczyła się o niego najczulej, nie było dnia, żeby o nim nie myślała i nie modliła się za niego. Potem, gdy dorósł, gdy własnym talentem tak prędko wywalczył sobie byt i sławę, cieszyła się nim, dumną była z niego, sprawiał jej prawdziwą radość.

A to szczęście domowe, jakiego zażywał! Ten mały domek, otoczony ogródkiem, przy końcu alei

spacerowych, zamieszkiwany przez rodzinę muzyka, jakie to czyste, jakie miłe, istny kawałek nieba na ziemi!

Citęreę pokochała baronowa Anna tysiącokroć więcej, aniżeli własną synową, dopuszczała ją jak najczęściej do swego towarzystwa i przy każdej sposobności obsypywała całą tę rodzinę hojnemi podarunkami.

Gdy zatem Manga jasno i otwarcie zawołała: „To jest twój syn, ten dzielny, uczciwy!” serce jej tani jednym tętnem nie uczyniło zarzutu, żeby tamtego mniej kochała. Od kolebki Paolo zawsze był jej miłym, jak rodzone dziecko.

Obce osobistości zaś, niewtajemniczone w treść krążących pogłosek, hrabia Zoltan z wielkim taktem umiał uspokoić na razie rzuconą insynuacją, jakoby cyganka miała pomieszanie zmysłów.

Każdemu wydało się to zupełnie prawdopodobnem, gdyż jeżeli nie pomieszanie zmysłów, to w każdym razie dużej dozy szaleństwa było potrzeba na to, ażeby w pełni potęgi jeszcze w owej chwili będącemu panu, przed którym każdy drżał z trwogą, publicznie w oczy rzucić: „Moim synem jesteś, prostym cyganiakiem!”

Jeden był tylko w tem kółku, jedyny człowiek, który nic nie wiedział ani o plotkach krążących, ani o tem, co faktycznie zaszło przed chwilą w foyer teatralnem. Tym jedynym — był Paolo.

Cała publiczność tak dalece podziwiała i kochała artystę, iż nikt nigdy nie zdobyłby się na to, aby mu podsunąć myśl, że może być potomkiem nie cygańskiego rodu. Instynktownie obawiano się

tego, że w takim razie porzuciłby skrzypce i nie koncertował więcej.

Dla niego jednego tylko byłaby to przykra niespodzianka, gdyby się kiedy o tem dowiedział.

Wszystko to jednak całkowicie zaćmiło i na daleki plan odsunęło wielkie zdarzenie, wielka zmiana, jaka dnia tego zaszła dla całego kraju. Każdy olśnioną miał uwagę ważnemi zajściami w polityce: ministerium upadło, a z niem i dotychczasowy system rządów razem ze wszystkiemi swemi narzędziami runął bezpowrotnie. Powrócą dawne piękne czasy wolności!

Ktoby tam teraz myślał i rozmawiał o dzieciakach, zamienionych przez cygankę!

Wielka zmiana zawitała do kraju niespodziewanie, nagle—choć upragnioną i oczekiwaną była oddawna.

Tak, jak gorączka choroby, zwanej tańcem św. Wita, udziela się od samego patrzenia osobom, przyglądającym się jej atakowi, tak tu, wśród całej publiczności, powiał naraz prąd ogólnego rozweselenia, gorączkowej ekstazy, dawno nieodczuwanej radości. Twarze jedne od drugich zarażały się żywieniem i szczęściem.

Nowe życie nastanie! Wolność! Naród znów będzie samym sobą! Precz odejdą nareszcie wszyscy ci, których nienawidziliśmy, którym ulegać musieliśmy, pogardzając nimi, a popowracają ci, których kochamy i szanujemy!

W lot pojęli to wszyscy.

Podczas przerw w koncercie, gdy milkły skrzypki artysty, w teatrze panował taki gwar, hałas, że ktoby tam wszedł, nie znając powodu tego

rozhoworu, mógłby na razie pomyśleć, że panuje jakaś panika.

Panowie rozmawiali z sobą z przeciwnych łóż, przez szerokość teatru krzyczeli, śmieli się, chichotali, jedni drugim opowiadali o tem, co zaszło, a coraz ktoś nowy przybywał i zdawał sprawozdanie z tego, co w ciągu ostatnich dziesięciu minut zaszło.

Dziesięć minut wśród zajęć takich ważnych stanowiło już stadyum, pełne doniosłych zmian.

...W pałacu Szymonów Lenke pakują się na łeb na szyję z zamiarem wysłania cięższych kufków jeszcze tejże nocy do Nagyvaradu...

...Kasyno uilluminowało swoje okna, a za niem uczyniła toż samo i cała ulica, plac literalnie kąpie się w blaskach oświetlenia...

...Szymon Lenke udał się zamkniętą kareta do komendanta wojska, stojącego w mieście załogą, żeby wymódził na nim, aby położył tamę wybrykom, mającym miejsce w teatrze...

...Młodzież postanowiła wyprawić zato kocią muzykę Szymonowi Lenke, lecz wstrzemięźliwsi w inną stronę zwrócili impet młodego pokolenia: za ich poradą zdecydowano się zamiast kociej muzyki Szymonowi Lenke, wyprawić owacyjny pochód z pochodniami gospodarzom kasyna...

...Komendant wojska zbył Szymona Lenke taką odpowiedzią, że otrzymał wyraźny rozkaz niemieszania się do niczego z pomocą siły zbrojnej, więc mogą sobie wszyscy śpiewać, krzyczeć w teatrze i na ulicach, co kto chce i ile kto chce...

...Młodzież postanowiła i komendantowi wojska wyprawić owacyę z pochodniami...

...Szymonowie Lenke wyprowadzili się z pałacu do hotelu i zajęli te same dwa numery, które już raz zamieszkiwali...

...Nową wiadomość otrzymano z Wiednia! Zamianowano już nadżupanów. Hrabia Zoltan Bárdy otrzymał nominację na nadżupana naszego komitatu!

I znów aż zatrzęsł się teatr od wiwatów, gdy ujrzano w loży Zoltana.

Publiczność w uszczęśliwieniu swoim była wspaniałomyślną. Pana Lebeguta wszyscy ściskali za ręce. Przypominano sobie teraz, ile on dobrze robił w zakresie swojej władzy: komu mógł, temu pomagał, łagodził surowe rozporządzenia; powszechnie żałowano, że opuszcza miasto.

Pana Mikulaj'a zaś uniesiono do góry i obnoszono w tryumfie za dzielną odpowiedź, jaką dał Szymonowi Lenke: „Nie jesteśmy w żadnym dziwnym kraju, ekscelencyo! Wolę iść drzewo rąbać!... Nie tędy droga do Budy!”

— Zostanie między nami! Wybieramy go na prezesa trybunału za restauracyi!

Jeden tylko Paolo nie wiedział o tem, co się stało i co się dzieje na świecie po za gmachem teatralnym. Strzegli go, jak wychowanka klasztoru, aby żadna wiadomość o świeżych wielkich zmianach w kraju nie doszła jego uszu. Stanowczo byłoby mu to zepsuło natchnienie, z jakim dziś grał. On ciągle myślał, że ten gorączkowy paroksyzm publiczności wywołuje wspaniała istotnie jego gra na skrzypcach. Prawda, iż grał dziś wyjątkowo, w zupełności zasługując na oklaski, jakimi go obsypywano.

Za bardzo dobre mu też wzięto taktowny jego postępek z wieńcem, że go przyjąć nie chciał. Dzięki jemu, nie tylko ochronka będzie założona, ale jeszcze wystarczy na podarki na gwiazdkę dla biednych dzieci. Ha! Ale dziś oto nastąpi gwiazdka dla dorosłych osób, istny dzień urodzin Mesjasza, i każdy miał choinkę pełną błyszczących nadziei i radości bez granic.

Nadzwyczajny zapal, panujący w teatrze, kładł artysta na karb demonstracyj przeciw tyraństwu, ponieważ ekscelecya zakazał mu interpretować pieśni narodowe, a on pomimo to interpretował je przed całą publicznością.

Utwierdziła go jeszcze w tem mniemaniu scena, jaka miała miejsce po ukończeniu pierwszej części koncertu.

Cała publiczność mianowicie, jak gdyby się namówiła, powstała z miejsc i odśpiewała chórem „Szózat”¹⁾: „Ojczyźnie swojej zawsze bądźcie wierni, o Węgrzy!..”

Zaiste, pieśń ta równa się odgłosowi trąby jeryhońskiej! Nuta jej nieraz już rozwalala mury baszt, o których myśleli ci, którzy je wznosili, że przetrwają wieki.

Dopiero gdy ostatni oklask umilkł i Paolo zmęczony powrócił do ubieralni, udał się do niego Zoltan.

— No, teraz może już przyjść jego ekscelecya i okuć mnie w kajdany!—rzekł do wchodzącego Paolo.

¹⁾ Narodowy hymn węgierski.

— Jego ekscelencya nikogo już nie będzie okuwał w kajdany, ponieważ osoba jego przestała już być ekscelencyą. Ministerjum zrezygnowało, a wraz z nim i on upadł. Zatwierdzona już jest zupełna zmiana dotychczasowego systemu rządzenia naszym krajem. Ze świętym dniem dzisiejszym nowe istnienie dla nas się rozpoczyna. Twoje skrzypki dały nam pomyślne hasło!

Następnie otoczyło artystę kółko gospodarzy koncertu i uczciło go piękną mową.

I damy także w kilku grupach zbliżały się kolejno do niego, dziękując; pomiędzy temi ostatniemi jednakże daremnie upatrywał Paolo hrabiny Anny.

I Citera także gdzieś się podzielała, nigdzie jej dojrzeć nie mógł. Że Aranki nie było — to pojmował.

Dziwiło go także, że i Manga nie nawija mu się pod oczy, jak to bywało zwyczajem.

O tem, co Manga uczyniła, nikt mu jeszcze ani słowa nie szepnął.

W towarzystwie całem panowała jak gdyby niema umowa, żeby o tem nigdy w życiu Paolowi nie powiedzieć.

I kto wie, dotrzymanie na tak wielką skalę zakrojonej tajemnicy — byłoby się może udało, gdyby świat nie był pokarany istnieniem dziennikarzy.

Daremnie się okazało zamknięcie pana Ollósi'ego w jednej z garderób teatralnych; albowiem, spostrzegłszy, co z nim uczyniono, genialny sylf czmychnął przez okno, popędził do redakcyi, z właściwą sobie werwą opisał wypadki dnia, a między

niemi i opowieść o zamianie dzieci i wszystko to świeże i gorące — wydrukował w osobnym, wieczornym dodatku do swojego pisma.

Po koncercie i mowach nastąpiła uczta, wydana na cześć artysty, którą w połowie przerwał, lub raczej uświetnił jeszcze wyprawiony mu przez młodzież pochód z pochodniami, muzyką i śpiewem. Potem nastąpiły toasty. Pierwszy wypowiedział Zoltan Bardy ku chwale „najpierwszego Węgry,” który to toast poparli wszyscy frenetycznem *éljen*; drugi wzniesiono za zdrowie zatwierdzonego już nowego nadzupana. Powstał szalony brzęk trącanych puharów.

Paolowi zatem dostał się dopiero trzeci toast z rzędu. Gdyby nie doniosłe wypadki dnia, on byłby miał najpierwszy. Damy nie brały udziału w uczcie.

Fatalnie się złożyło, że ten, który wznosił zdrowie Paola, aż dwa razy się pomylił w swojej mowie, a poprawiając się, zmieszany, „ekscelencyą” zatytułował cygana, z czego Paolo bardzo się serdecznie roześmiał, ale tylko sam jeden, inni jakoś nie śmieli się wcale, a nawet ten i ów tajemniczo pokręcił głową.

Aliści niezadługo potem, gdy nastąpiły tak zwane dzikie toasty, przybył z powrotem pan Ollósi.

Takim to jest znający swoje rzemiosło publicysta.

Przyniósł z sobą kilka wilgotnych jeszcze, prosto z pod prasy próbnych egzemplarzy gazety. Zaraz na pierwszej stronicy widniał artykuł wstępny, dalej szły felietony, wiadomości bieżące, telegramy *communiqué*, *on dit*, rozmaitości etc. A wszystko to pięknie wydrukowane najrozmaitszego rodzaju czcionkami: cyceronem, kompaktem, werzałem, elzevirem,

bourgoisem, nonpareillem—zaopatrzone obficie w ręce z wyciągniętym palcem wskazującym, w ramki, wianki i przeróżne dyabelki. Słowem, gazeta pana Ollósi mogła być wzorem sztuki dziennikarskiej.

— Przeczytajcie tylko państwo!... Ot, co jest!...

Zoltan wprawniej czytał gazety, niżeli Paolo. Oczy jego odrazu padły na artykuł, zatytułowany „Zamiana dzieci.” Złożył gazetę, schwycił pana Ollósi'ego za kołnierz, wciągnął go we framugę okna i taki mu duser wpakował do ucha:

— Słuchajno pan, mój łaskawy przyjacielu, panie Ollósi, ja, jak mi cie tu widzisz, wszystkich dziennikarzy *in genere*, specjalnie zaś ciebie samego w najprzeraźliwszy, w najdzikszy i w najosobliwszy sposób poważam i szanuję; aliści, jeżeli w jutrzejszym numerze twojego pisma ukaże się artykuł o zamianie dzieci — wiedz z góry o tem, że ci bez żadnej ceremoni — kark na miejscu skręcę.

Ollósi zrozumiał, o co chodzi.

Zoltan pospieszył napowrót do stołu, chcąc odebrać z rąk Paola nieszczęsną gazetę, zanim oczy artysty napotkają niefortunną wzmiankę o wygnaniu Mangi. Taki muzyk zawsze myśli, że gazetę, to jak nuty, od początku do końca przeczytać trzeba; artykuł ten zaś był umieszczony w odcinku pod linią.

Pomimo to nie zastał już Zoltan Paola na miejscu. Zniknął gdzieś.

Dokąd poszedł? Nikt nie umiał objaśnić.

Jeden z kelnerów tyle tylko wiedział, że artysta, rzuciwszy okiem na tekst gazety, zerwał się nagle z miejsca, wykrzyknął: „jestem zgubiony” i jak oparzony wybiegł z sali. Sąsiedzi, myśląc,

że to szampan mu tak zaszkodził, nie stawiali mu tamy.

Nikt nie umiał Zoltanowi nic więcej powiedzieć o Paolu Barkó. Zresztą czem innem mieli wszyscy głowę nabić: dysputowano o tem, kiedy najbliższy sejm będzie zwołany.

Dzisiejszego wieczoru jeszcze poeci, muzycy i wszelcy artyści byli najwybitniejszymi gwiazdami horyzontu; jutro—w słonecznych blaskach odzyskanej wolności—już nikt ich gołym okiem nie dostrzeże!...

ROZDZIAŁ V.

Chatka artysty.

W zamęcie, jaki panował w foyer, gdy reżyser poprosił szanowną publiczność, aby zajęła miejsca w widowni, nikt nie zauważył, co się dalej stało z dwiema cygankami: że stara schwyciła młodą za rękę i szepnąwszy jej do ucha „chodźmy,” razem z nią opuściła teatr.

Citera z pokorą schwytej na gorącym uczynku winowajczyni pozwoliła się prowadzić swojej świekrze.

Dopiero gdy już znajdowały się na ulicy, zapytała:

— Dokąd mnie wieszysz?

— Do domu — odparła sucho Manga, silnie trzymając rękę swojej synowej.

Szybko minęły ludne ulice śródmieścia, potem kilka zaułków, gdzie opędzać się musiały od wło-
czących się samopas psów, nie mających panów —

i tak dosięgły alei spacerowych. I te przeszły, również głębokie zachowując milczenie.

U końca tych alei stał mały domek, będący własnością artysty.

Był to budynek niski, pokryty dachówką, z wystającą rynną, otoczony dosyć dużym sadem dokoła. Cała ta niewielka posiadłość była obwiedziona parkanem, z po za którego wychylały się giętkie gałązki *licium*, zdobne czerwonymi jagodami.

Do drzwi nie potrzeba było pukać, gdyż zaopatrzono je sztucznym rygłem, który i z zewnątrz dawał się odsuwać za pomocą specjalnego klucza; ten ostatni, domownicy wychodząc, kładli w umówionem miejscu pod strzechą. W domku panowała już zupełna ciemność.

Była tam wprawdzie niańka, obowiązana do czuwania nad dziećmi, ale o tej porze nieboga chrapała już zazwyczaj tak smacznie, że złodzieje, mogliby nie tylko dom cały, ale i ją samą ukraść i wynieść bez najmniejszego zwrócenia jej uwagi.

Tylko, że któżby się łąsił na dobytek cygana?

Dzieci wszystkie także już spały, po dwoje w jednym łóżku, najmłodsze zaś — samo jedno, w kolebce. Miało już rok skończony, było odstawione.

— Zdejmij te odświeżone suknie — rzekła do synowej Manga — i schowaj je porządnie do szafy. Niemało wody upłynie w Szamosu, zanim je znów kiedy użyjesz.

Citera uczyniła zadosyć woli swojej świekry

i po chwili ukazała się napowrót w izbie w codziennem ubraniu.

— A teraz rozpal ogień. Naucz się, jak to robić.

Pod nadzorem Mangi, dyktującej słowo po słowie, co ma czynić, Citera, nie nawykła do podobnej roboty, rozpałała ogień, następnie ugotowała polewkę, nakarmiła nią rozbudzone dzieci, poczem napowrót je do snu poukładała.

Wszystko to wypełniała chętnie, pilnie, w milczeniu.

— Tak, kochana synowo, musisz się teraz do tego przyzwyczaić, żeby być czynną w domu. Dotychczas we wszystkim wyręczała cię świekra. Ja zamiatałam, sprzątałam, gotowałam, pilnowałam dzieci, podczas gdy ty bawiłaś się w urządzenie dobrotczych koncertów w towarzystwie dam z wielkiego świata, a o własne dzieci mało co się troszczyłaś. Teraz koniec temu. Oto jest twoja ochronka, o którą przedewszystkiem dbać powinnaś.

Citera ani jednym słowem nie protestowała.

— Przyzwyczajaj się do tego i naucz się wypełniać, co do ciebie należy, bo mnie nie będziesz tu już miała przy sobie nadal.

Teraz dopiero gorzko zapłakała Citera.

— I cóżem ja zawiniła, że się na mnie tak gniewasz, matko?

— Zawiniłaś i ty bardzo, bo pociąg tam chodziła, gdzie nie należało? Czy nie zapowiadałam ci surowo, żebyś do tego domu - bezemnie—nawet na modlitwę nie dała się zaciągnąć?

Kiedy jaśnie pani tak pięknie prosiła.

— Niechaj paraliż powykręca te usta, które

tak pięknie prosić umieją. Chciała cię wydać na zgubę.

— Przecież ona nie wiedziała jeszcze o tem, że jej mąż powrócił.

— Wiedziała ona o tem wybornie i właśnie dlatego cię tam posłała. Uplanowała sobie doskonale ciebie wydać swojemu, a sobie tem łatwiej przywłaszczyć twojego. Pragnęła małej zmiany. Jak cyganka. Prawdziwa cygańska zamiana! Żona za żonę, mąż za męża. Cud Boski cię ocalił, że oto możesz być w domu pomiędzy swoimi. Zostańże tutaj — ja odejdę. Ja jestem winna wszystkiemu, za wszystko, co się tu stanie, na sądzie Boskim — ja odpowiadać będę.

— Cóż znowu? Jakto?..

— Tak jest. Ja zgrzeszyłam językiem. Tym nędznym kawałem mięsa, który należałoby nam, kobietom, zaraz po urodzeniu wyrzynać, i koniom pod kopyta rzucać, aby go strutowały. Ja los zepsułam Paolowi Barkó! Zadałam mu cios tak straszny, że już go nigdy nic nie uleczy. Wydałam tajemnicę, o której dotychczas, oprócz mnie jednej — i chyba owej gwiazdy z nieba, co wówczas przez drzwi do naszej lepianki zaglądała — nikt inny nie wiedział. A ja wykrzyczałam ją dzisiaj głośno na całe gardło, wobec setki osób! On jeden tylko nie słyszał, co mówiłam: usłyszy jednak, gdy cały świat chórem to powtórzy, na co usłudźni ludzie nie dadzą długo czekać. A wówczas przyjdzie tu i pozabija nas.

— I nas pozabija? Za co? Dlaczego? Cóżemy mu złego zrobili?

— To, że kradliśmy mu jego miłość. I ty jesteś złodziejką, i to niewinne, w kolebce złożone niemowlę. Kradliśmy mu jego serce! Ukradliśmy

mu całe jego życie! Pozbawiliśmy go złotem tkanych sukien jedwabnych, brzęczącej karabeli, srebrnych ostróg pałacu z marmurowymi wschodami— a dali w to miejsce ubóstwo, chleb czarny i tę nędzną chatę! Szalbierzem, który mu to uczynił — ja byłam, ot—jak mię widzisz!

Citera parsknęła śmiechem.

— Śmieję się, śmieję, szalona. Nie wierzysz mi, myślisz, iż żartuję, żeby cię nastraszyć. Ale niezadługo *on* powróci. A wówczas od tego zacznij, że najpierw ciebie udusi, potem kolejno wszystkie dzieci, a mnie dopiero na samym końcu, ażeby mi oczy napasła widokiem śmierci wszystkich was, których tak kocham!

Citera tym razem przełękła się naprawdę.

— Boże mój! Ależ za co? za co? .

— Dlatego, żeśmy na to święcie zasłużyli. No, ale ja wolę się ztąd usunąć. Nie mam tak bezwstydного czoła, ażeby śmiała w oczy mu spojrzeć, gdy przyjdzie. Odchodzę. Już nigdy o mnie nie posłyszycie, chyba to jedno, że Szamos gdzieś na brzeg wyrzucił moje martwe ciało. Tylko nie wiadomo, czy wy sami tego doczekacie. Oh, przedwieczny Jehowo, jakież ja szaleństwo popeliłam dzisiaj!

Stara cyganicha z temi słowy z chaty wybiegła; napróżno przywoływała ją Citera. Tak szybko biegła w stronę rzeki, iż nie było sposobu jej dogonić. Znikła gdzieś, między srebrzystą zielenią obficie nad brzegiem rosnących wierzb płaczących.

Citera siadła na progu chaty, w głębokiem zamyśleniu spoglądając w dal. Smutkiem i tęsknotą przejmował ją posępny blask księżyca, który się już wysoko wzbijał na niebo, a dziwnym niepokojem

to, co usłyszała od świekry. Zastanawiała ją także luna światel, unosząca się nad całym miastem i blaskiem jutrzeńki złocąca lekkie oblóczki na niebie. Fale wiatru przynosiły ze sobą z tamtej strony odgłosy śpiewów, muzyki i niepojętego o tej nocnej porze — gwaru na ulicach miasta. Citera nie wiedziała, co to znaczy i co o tem myśleć.

ROZDZIAŁ VI.

Podwójny cień.

Paolo Barkó z takim pośpiechem uciekał ze wspaniałego bankietu, wydanego na jego cześć, że zapomniał nawet zabrać swoje skrzypce.

Uciekał, jak gdyby go furie goniły, jak gdyby się obawiał, żeby go kto ze współbiesiadników nie dogonił i do powrotu nie zmusił. Pędziło go jakieś niewypowiedziane przerażenie.

Wtedy dopiero zaczął odzyskiwać równowagę ducha, gdy minąwszy ostatnie zabudowania miejskie, stanął na wybrzeżu rzeki.

Tutaj, gdy poczuł pod stopami chrzęst żwiru, tego, tak dobrze sobie znajomego żwiru, na którym bawił się, dzieckiem będąc, gdzie ze szczególniejszem zamiłowaniem zbierał drobne muszelki, tutaj dopiero trzeźwo zastanawiać się zaczął nad sytuacją.

Co ta cyganka o nim światu nagadała?

Że on nie jest jej synem, lecz synem baronowej! Że nie jest cyganem, ale magnatem.

Ależ—w takim razie: skoro nie jest cyganem, to nie jest i artystą. To nie ma prawa obiegać

świata ze skrzypcami w dłoni... To i cyganka nie jest jego żoną. A cyganięta? Te drogie, ukochane cyganięta?..

Życie jego snem było dotychczas: czemuż go zbudzono?

Ale czyż to nie jest w mocy człowieka powiedzieć sobie i światu całemu: ja nie potrzebuję waszej namiętnej prawdy, nie uznaję realnych warunków bytu, jakimi skrępować mnie chcecie! Snem żyłem dotychczas—chcę śnić i nadal. Tak mi się podoba i basta.

Lecz czyż to jest możebne?

Pośmiewiskiem się stanie dla wszystkich, palcami wytykać go będą. Jako cygana—szanowali go i poważali, jako szlachcica — szydzić z niego będą, będą się nad nim litować. Na całym świecie nie znajdzie kąta, gdzieby mu spokój dano i swobodę, do jakiej nawykł.

Siadł na pniu starej wierzby, pochylającej się nad wodą. Wpatrzył się bezmyślnie w przepływające fale. Jakieżby to proste było rozwiązanie tej zagadkowej baśni: rzucić się głową na dół w nurty rzeki i w jej chłodnem objęciu pozostać już na wieki.

Po drugiej stronie tychże fal tak samo wpatrywała się w nie ta, która była sprawczynią tych zawikłań: Manga.

Paolo wciąż myślał o swoich dziecinach.

Hej! Wszystko na świecie jest głupstwem i złudzeniem: Sława! Potęga! Bogactwo! Kobiety!—Marność marności. Jedno jest tylko prawdą i jedna tylko miłość jest mądrością: miłość do dzieci, rodzonych!

Wyszedł znów na płaszczyznę, pokrytą żwirem, i przemierzał ją bez końca tam i napowrót w głębokiem zamyśleniu.

Od wschodu niebo zaczęło stopniowo blednąć i rumienić się jutrzeńką, od zachodu—księżyc brocił jeszcze praw nocy.

W tem dwoistem, sprzecznem oświeceniu, samotnikowi, przechadzającemu się nad brzegiem rzeki, towarzyszyły niedostępne dwie smugi, dwa cienie: jeden od blasków dnia świtającego, drugi od blednącego miesiąca.

Taki cień podwójny szedł za nim ciągle, na krok go nigdy nie opuszczał, chociaż on o tem nie wiedział..

Grupy roślin, zdobiących wybrzeże, nosiły już na sobie ślady jesiennego chłodu: z buków opadały już pożółkłe liście, zieleń krzewów, stanowiących malownicze podszycie drzew okazalszych, także zwarzoną już była od wichrów. Czerwone kotołuszki sumaki, berberys pyszniły się całem bogactwem liściowych i szkarłatnych odcieniów. Między niemi żywym kontrastem odrzynał się matowy białodrzew. Ptaszeta umilkły już, część ich odleciała w południowe strony, czasami tylko, gdzieniegdzie skromnie zaświergotał wróbel.

Z tym przyciszonym, jakby martwym swiergotem wróbli dziwnie się klóciły odgłosy śpiewów, tony zwyciężkiego marsza Rakoczi'ego, płynące z miasta. Wczorajsza noc dosięgła dzisiejszego świtu.

Paolo, chociaż muzyk—nie zwracał na to uwagi, zbyt zajęty był rozterką własnego ducha. Schronił się w miejsce gęściej porośnięte drzewami, gdzie nic słyhać nie było.

Nagle stanął jak wryty. Z zarośli wysunęła się ku niemu drobna jakaś postać, której na razie nie poznał.

Była to Manga.

I ona stanęła, ujrawszy Paola.

On rzucił się ku niej z uniesieniem, mimowolnie zaciskając pięści.

— Co uczyniłaś, kobieto?! — krzyknął zachrypniętym głosem.

— Wbiłam ci nóż w serce! — odparła Manga cicho, nakształt echa.

— Tak jest. Wbiłaś mi nóż w serce. A czy ja zasłużyłem na to od ciebie? Czyż złym synem byłem dla ciebie, że się mnie teraz wypierasz? A ty — czyliż byłaś dla mnie złą matką! Głodziłaś się nieraz, ażeby mnie nakarmić, chodziłaś w łachmanach, ażeby mnie pięknie przyodziać. Gdy chorowałem, na krok nie odchodziłaś odemnie, głowę moją wciąż trzymając na łonie. Gdy byłem zły, psotny i hardy — także mnie kochałaś. Nigdy nawet słowem nie uczyniłaś mi krzywdy. Prowadzałaś mnie do kościoła i nauczyłaś modlitwy. Lepszej matki od mojej żadne dziecko nie miało. A teraz, chcesz, abym innej matki poszukał, powiadasz, że nie jestem i nigdy twoim synem nie byłem! Kimże więc jestem? Czyż do dnia wczorajszego nie byłem człowiekiem szczęśliwym? Miałem chatkę małą, ubogą, ale pełną szczęścia i miłości. Dziś — ty mnie z niej wypędzasz! Chcesz, abym zamienił ją na pałac! A moja żona cyganka? A moje drobne dzieci? Więc to wszystko nie moje?.. Śniłem dotychczas, a teraz koniec wszystkiemu. A skrzypce? Także nie moje! Roztrzaskam je na drobne drzazgi!

Paolo drżał cały, jak w febrze, i chwycił Mangę za ramiona.

— Przyznaj, żeś kłamała! Że nieprawdą było to, co powiedziałaś! Bo jeżeli tak jest istotnie, iak to ogłosiłaś tam, wobec tych ludzi, to raczej

pozabijam żonę i dzieci, a sam, razem z tobą do tej rzeki wskoczę, zanim do innych przystanę!

Twarz starej cyganki promieniała radością.

— Ach, jakiś ty piękny, kiedy się tak gniewasz! Więc kochasz nas naprawdę, tak, jak my ciebie kochamy? No, nie wywracaj oczu tak groźnie. Wiedźże o tem, że wszystko to było cygaństwem, niczem więcej. Czegoż innego spodziewać się po starej cygance, jeżeli nie cygaństwa? Wiesz, ja chciałam poprostu zawstydzić, zbić z pantaląku tego nadętego pyszałka. Dmuchiłam na niego i skurczył się. Nie patrzże się tak na mnie, no! Bo mnie przerażasz. Ja nie chciałam cię martwić. Nawet nie przyszło mi na myśl, że ci to zaraz powtórzą. Bóg świadkiem, że nie godziłam na twoją krzywdę. Gdzie jabym cię tam oddała jakiegokolwiek hrabinie! Choćby i sam cesarz turecki prosił mnie o ciebie — i jemubym cię nie dała! Moim synem jesteś. Wiesz, że tobie nigdy nie kłamie. No, nie spoglądajże się tak na mnie. Pocałuj mnie, uściskaj mnie zaraz.

— Więc istotnie twoim jestem synem, cyganem?—pytał Paolo podejrzliwie.—Już wiem, jak się przekonać o tem, czy prawdę mówisz: wezmę moich dwóch starszych chłopców i razem z nimi grać będę tu na placu w alejach spacerowych, za miedziane krajcary od przechodniów, jak zwykle cyganie. Jeżeli na to pozwolisz, wówczas uwierzę, iż rzeczywiście prawdę mi wyznałaś.

Manga schwyliła Paola za obie ręce.

— Tak, tak, doskonale! Przyprowadź tu obydwóch urwisów, niechaj się uczą, co jest chwałą cygana. Szaleńcze! czyż ci nie wystarcza spojrzeć na te dwa śniade kruczeta, ażeby się przekonać, że i w tobie samym czarna krew płynie?

Paolo schwylił Mangę w objęcia.

— Droga, ukochana matko!

— Czekaj-no, czekaj... Z tem wszystkiem, że głupstwo zrobiłam — to fakt. Gdy temu pyszałkowi rzuciłam w oczy na jego zawstydzenie, że jest moim synem, wówczas on, korzystając z tego, rzucił się przeciwko naszemu zacnemu hrabiemu, wołając: „a zatem skoro nie jesteśmy braćmi, to możemy walczyć na śmierć i na życie!...” Mają przyjść tu, nad rzekę, słyszałam, jak się umawiali. Lecz nie obawiaj się o nich, zepsuje ja im szyki. Z całego tego pojedynku wyniknie malowana figa. Widzisz te siedem ziarenek grochu, które trzymam w ręku? Każde innego koloru. Gdy je rzucę za siebie, ułożą się w kształt krzyża.

Mó więc to, cisnęła ziarnka w powietrze.

— A co, widzisz? W krzyż się ułożyły. Za-grzebie je teraz w ziemię. Już urok rzucony—pojedynku nie będzie. Nie będą strzelali do siebie, bo ten krzyż gniewy ich zażegna. A teraz chodź, wróćmy do naszej chateczki, do twojego domu. Nie lękaj się — twoim on jest i twoim pozostanie nadal. No, i nie gniewaj się już na swoją rodzicielkę. Powinieneś to rozumieć przecie, że cyganka żyć nie może bez cyganienia. A cóżem ja temu winna, że mnie Bóg cyganką stworzył?

Więc wszystko już zostało naprawione.

Cyganka odcyganiła napowrót to, co zepsuła...

A cyganie, trzeba wiedzieć, mają ten dobry przymiot, że jedni drugim ślepo wierzą. „Wszystko głupstwo! prosty żart!”

Słońce wyrzało już z po za krańca widnokreśgu, księżyc raptem zbladł i zniknął.

Paolo, obojętny na gwar, rozbrzmiewający ze strony miasta, wraz ze starą cyganką zwrócił się ku swojej chatce.

Piały tam koguty, głosząc, że dzień nowy już nastał.

A Citera wciąż jeszcze siedziała na progu swojego domku, spoglądając w zadumie na pożółkłe liście drzew; naraz drgnęła na odgłos skrzypnięcia furtki.

Weszli Paolo i Manga, złączeni wspólnym uściskiem.

ROZDZIAŁ VII.

Siedm ziarn grochu.

Na początku alei spacerowych znajdowało się gospodarstwo mleczne, licznie nawiedzane przez publiczność miejską.

Wczesnym rankiem codziennie dużo osób przychodziło tu użyć powietrza, a z mleka czyniono sobie istną kurację.

Mleko, maślanek, żętykę na gorąco pijano ze smakiem i apetytem.

Gospodarstwo to otoczone było obszernym parkiem z krętymi uliczkami, po obu stronach których poustawiane były stoły z ławkami dla gości. Każdy sam sobie przynosił kubek mleka lub żętycy i kawałek wybornego razowca; kelnerów nie było, goście musieli sobie sami usługiwać.

W spokoju, ciszy, bez żadnej przeszkody wypijał każdy swoją porcyjkę.

W jednej altance sprzedawano solanki, w drugiej zaś pierniki.

Są osoby, które nawet z polecenia lekarzy przekasają mleko zsiadłe piernikiem.

Był to śliczny, pogodny ranek październikowy; babie lato obficie snuło się po powietrzu, obwijając się około gałęzi puszystymi swojemi srebrzysto-jedwabnymi pasmami.

Łąka cała wyglądała, jak gdyby zahaftowaną była drobnemi pajęczynkami rozmaitych odcieni; gdzieś tam polyskiwał szron.

Po gałęziach drzew płały ochoczo wiewiórki w swoich czerwonych futerkach, ciskając na siebie żołędziami, drozdy, szybko przelatując z krzaku na krzak, rozsypywały obfite jagody jałowca, a opodal spacerował kotek, ostrożnie przebierając białemi łapkami po kamkach i próbując smaku trawek przydrożnych.

Zdaleka dochodził ryk krowy, przyzywającej swojego cielaczka, i dzwonek byka, przywódcy stada...

Żaden głos ludzki słyszeć się tu jeszcze nie dawał.

Najpierwszymi gośćmi byli tu dziś mężczyzna jakiś i pani.

Ona ubrana ciemno, jak do podróży, w kapeluszu jedwabnym, zawiązanym pod brodą, on — w *dżeku* z grubego sukna i w pół-wysokim cylindrze na głowie, który to fason nazywano „*zweifler*” (zrozpaczony).

Trudno ich było poznać.

Czyż to istotnie oni? Jego Ekscelencya i jej Ekscelencya?...

Ta jedna noc postarzała ich przeszło o lat dziesiątkę!

To oni przybyli tutaj tak rano. Może dlatego, żeby się módz swobodnie wyklócić. „Domu” swojego już nie mają. Nie śmieli nocy przepędzić w pałacu. Obawiali się narazić na jaką skandaliczną szykanę ze strony tłumu.

W hotelu rozmowy rozpoczynać nie mogli, gdyż przez drzwi i cienkie ściany każde słowo słysząc było w sąsiednich numerach.

A może też i inny jeszcze był powód, dla którego tu przyszli.

Usiedli przy jednym ze stoliczków, na dwóch naprzeciwko siebie postawionych ławkach, ale nie twarzami ku sobie, lecz przeciwnie — odwróceniem od siebie, a gdy się jedno z nich na drugie obejrzało, tamto natychmiast śpieszyło pokazać mu plecy.

— Oto są skutki rządów pańskiej kapuścianej głowy! — zagaiła rzecz Aranka. — Nie raz jeden, lecz po sto razy zwracałam panu uwagę, że powinieś się starać umacniać swoje stanowisko zarówno w sferach wyższych, jak i niższych. Trzeba ci było umieć pozyskać sobie serca szerokich mas pospółstwa.

— Alboż szerokie masy pospółstwa mają serce? Można to obserwować na rynkach, na placach!...

— I byłbyś był mógł ująć je sobie bez żadnego wysiłku, bez narażenia rządu na żadne, szczególniejsze koszta. Pan tymczasem—przeciwnie; czyniłeś wszystko, ażeby każdą klasę społeczną zosobna i wszystkie razem przeciwko sobie podburzyć, drobiazgowem, dokuczliwem, a najczęściej zupełnie niepotrzebnem prześladowaniem... Przeszkadzałeś pan publiczności w każdej, w gruncie rzeczy nie-

winnej zabawie, występowałeś wyzywająco przeciwko głęboko wkorzenionym w serca tutejszej ludności uczuciom narodowym. Wtrącałeś się do kroju sukien i surdutów, wydawałeś krucyaty kapeluszm, wstążkom i piórom.

Szymon wziął do ust żdźbło trawy i zgryzł je na miazgę.

Aranka zasypywała go coraz nowemi zarzutami.

— A wszystko to chybiało celu. Bardziej z ciebie kpili, niż się ciebie lękali. Codziennie miałeś sposobność słyszeć przez okna drwiące satyry, jakie śpiewano na twoją chwałę po ulicach miasta.

— Wszakże satyr tych, według własnego zeznania, pani sama byłaś autorką.

— No, proszę. Temu jednemu uwierzyłeś pan jakoś odrazu, nie zauważywszy nawet tkwiącej w tem ironii. Wiedz o tem nakoniec, że paszkwile te pisywał, i w twojej własnej drukarni rozmnażał twój najzaufańszy zausznik, którego opłacałeś najhojniej.

Szymon wypłuł zgryzioną trawę; wydała mu się zbyt gorzką.

— I wyższe koła towarzyskie zamiast pociągnąć ku sobie, zraziłeś nietaktem i brakiem wychowania. Ja z całych sił starałam się zawiązywać stosunki z dystyngowanymi damami z arystokracji, ty psujesz moje zabiegi ciąglem dokuczaniem im, tysiącznymi przykrościami i prześladowaniem. Ktokolwiek przyszedł do ciebie z interesem jakim, z prośbą, opuszczał twój gabinet z rumieńcem oburzenia na twarzy i ze łzami żalu w oczach. Lekceważyłeś tę prawdę, że kto z kobietami rozpo-

czyna walkę, ten z góry pewnym być może porażki...

— Pewniejszym jeszcze ten, kto się z niemi sprzymierza.

— I mieszczaństwu dawałeś się pan we znaki. Przekonano się ogólnie, że tylko za pośrednictwem przekupstwa można mieć dostęp do ciebie.

Był to ostry przycinek.

— Czy wiele jeszcze zarzutów zawiera ta ciekawa lista? — spytał Szymon, niezręcznie ukrywający kipiący w nim gniew. — Bawi mnie tylko, że pani i to ostatnie także do grzechów mi zaliczasz, kiedy wiadomo ci wybornie, iż jeżeli starałem się istotnie powiększać moje dochody, to głównie dlatego, ażeby zadawałniać twoją szaloną rozrzutność.

— Przyjemnie mi, że wyrażasz się pan, iż było to *głównym* powodem takiego postępowania: zawiera się tu bowiem jednocześnie przyznanie, iż były jednak po temu i inne jeszcze poboczne przyczyny. Biorąc mnie za żonę, zabroniłeś mi pan występować na scenie, na estradzie, i wyjątku nie chciałeś dopuścić nawet na koncertach z celem dobroczynnym; sam jednakże wcale nie wyrzekłeś się świata artystycznego, nie gardząc najniższemi jego warstwami, rekrutującemi się z chórzystek i baletniczek.

Umiałeś całe noce w ich towarzystwie przepędzać—wcale nie na modlitwie.

— Nie narażaj się pani na to, abym ci się odciął na tym punkcie.

— Nawet w zakresie swojego urzędowego działania nie umiałeś pan postępować trafnie. Zda-

jąc władzy referaty ze swojego okręgu, opisywałeś zawsze to tylko, co pochlebne i przychylne było dla niej, ale nieprawdziwe. Nie odważyłeś się nigdy słowa prawdy rzec miarodajnym sferom nawet w kwestiach pierwszorzędnej wagi.

— A o tem znowu z kąd pani wiadomo?

— Z podwładnymi bywałeś pan zawsze wyniosły, szorstki, niewyrozumiały.

— Wszystkiego tego dowiedziałaś się pani od pani Fruziny, mówiącej na migi?

— Dla wszystkich potrafiłeś się stać obcym i nienawistnym, tylko tych przyjmowałeś życzliwie, którzy ci przynosili jaką denuncyację na innych. Istną szkołę zaprowadziłeś tutaj tej sztuki.

— A kto mnie tego nauczył?

— Nie ja byłam twoją mentorką w tym względzie. Ja myślałam, że tobą powodują wyższe aspiracje i szlachetniejsze ambicje; że pomimo niesympatycznego kierunku, jaki obrałeś, potrafisz sobie stopniowo zarobić na szacunek swoich współpracu, a wraz z sobą — i mnie także wzniesiesz do sfery, do której zawsze tęskniłam, której łaknęłam tak, jak łaknie świeżego powietrza i widoku nieba człowiek, skazany na pracę w kopalni. Pragnęłam zdobyć sobie wielkie nazwisko, a zdobyłam tylko wielki wstyd! Przypatrz się pan teraz, dokąd doszedłeś. Dzień, w którym opuścisz to miasto, będzie dla jego mieszkańców uroczystem świętem, wywetrzą po tobie swoje domy i odśpiewają w kościele *Te Deum*. Będiesz na całe życie wygnany ze swojej ojczyzny, z koła swoich rodaków.

— Nienawidzę ich wszystkich.

Dały się słyszeć kroki czyjeś, więc sympatyczne stadło przerwało miłą pogawędkę. Dróżyny

wszystkie były tu kręte, zatem nie można było widzieć z po za bujnych krzewów jałowcu, kto się przybliża. Iść musiało kilka osób, gdyż słyhać było ożywioną rozmowę i śmiechy.

Dopiero po chwili, gdy wyszli z za zakrętu, poznali ich jasnie wielmożni państwo. Był to Cygan muzykant, razem ze swoimi.

No, dla tych nie warto zmieniać póż, ani miejsca.

Szedł Paolo, za nim Citera z dwoma bliźniętami.

Paolo nie miał już na sobie owej wspaniałej attyli aksamitnej, którą był przywdział na wczorajszy koncert, lecz skromny dolman, przeznaczony na dni powszednie. „Wiktoryą” nazywano podobny dolman, z jasno - błękitnego płótna, z czerwonymi wyłogami i trzema rzędami małych, płaskich guzików stalowych, a do tego obcisłe spodnie, spięte u dołu guzikami miedzianymi. Niósł on pod pachą skrzypce, lecz nie Stradivarius; ten dotychczas jeszcze spoczywał w futerale, zamknięty w sali teatralnej; teraz miał z sobą pospolite skrzypce Schundego.

I Citera także ubraną była, jak zwyczajna Cyganka: w jedwabnej chusteczce na głowie i takiejże chusteczce, tylko ozdobionej frendzlą, skrzyżowanej na piersiach. Obydwóch chłopców prowadziła za ręce. Byli oni tacy jednakowi, jak dwie wiewiórki; ubrani byli ubogo, ale przyzwoicie, nie w łachmanach, jak się to najczęściej cyganiętom zdarza, gdyż dbała o ich przyodziewek stara babka, Manga.

I każdy z nich także dźwigał skrzypce: prawdziwe, duże skrzypce, nie żadne zabawki dziecięce. Obaj traktowali już muzykę na seryo.

Paolo kroczył dziś prawdziwie po cygańsku, przechylając się z nogi na nogę; starał się zatrzeć w sobie zupełnie wszystko, co nabył z pańskich manier.

Niech sobie dziennikarze plotą, co im się podoba! Nie ten głupi, kto skłamię, lecz ten, kto kłamstwu uwierzy.

Niedaleko od stoliczka, przy którym zabrali miejsce jaśnie wielmożni państwo, znajdował się inny stolik, także z dwiema ławkami. Oto wyborne miejsce dla Cyganów, gdyż tu właśnie krzyżują się dwie aleje.

— No, dzieci, tu będzie dziś nasze panowanie — rzecze Paolo do młodego pokolenia. — Dobrze nam tu będzie. Zaraz zaczną się schodzić państwo na świeżą żętycę. Kto w nocy tyle wina wypił, musi go po dniu zalać maślanką. Nastroiście już wasze instrumenty?

Dzieci zaczęły stroić skrzypce.

— Pamiętajcie, urwisy, nie żałować kalafonii smyczkom i śmiało grać wszystko, co umiecie. A uważać, kto idzie; jeżeli jaki pan ze srebrnymi guzami, to rójcie mu czardasza „Luizę”, jeżeli zaś taki w kapeluszu wysokim, to *Ceppel* polka dla niego! Musi zarabiać, kto chce żyć przyzwoicie. I ja tak samo zacząłem, jak wy. Mając pięć lat, już grywałem tu na promenadzie. Wróciwszy do domu, będziecie musieli uczyć się regularnie, codzień, bo kto chce zostać artystą, ten nie powinien nigdy zaniedbywać swojego talentu. Nawet w nocy śnić nie wolno mu o niczem innem, tylko o swoich skrzypcach. Czy też umiecie już tę nową piosenkę, którą Pontyngrás przywiózł z nad Cissy? Chciałbym

usłyszeć. Spróbujcie, teraz jeszcze nikogo niema w alejach.

Szymon i Aranka byli dla niego „nikim”.

Więc Petko i Palko stanęli ładnie przed ojcem, a ująwszy w drobne rączyny ogromne skrzypce, większe od nich całych, przycisnęli je, jak przynależy bródkami.

Paolo sam towarzyszył im na swoich skrzypcach.

Citera przykucnęła przed synkami tak, że jej twarz była na równi z ich buziakami, i przyciszonym, ale dźwięcznym swoim głosem zanuciła im piosenkę, którą grać mieli:

Namiot pięknej Cyganeckiej
Zajął się płomieniem:
Spłonął w nim sam wojewoda,
Tudzież jego córka
I hajja, hajja!

Brała ochota zjeść tych dwóch ślicznych malców! Tak czyste tony wydobywali ze skrzypiec, jak kryształ.

— A teraz sami odegrajcie drugi raz tę śpiewkę.

Więc chłopaczkowie powtórzyli swoją produkcję, a matka towarzyszyła im drugą strofką piosenki:

Wojewody nie żałuję,
Ale żal mi córki:
Nóżki w krasnych pantofelkach
Podbijały serca.
I hajja hajja!

— Ale teraz zagrajcie to zupełnie sami, bez pomocy śpiewu matki.

Dzieci posłuchały i udało im się odegrać piosenkę bez błędu.

Szymon od drugiego stołu zawołał na nich z gniewem:

— Przestańcie raz rzępolić!

Ale mały Palko nie dał sobie w kaszę dmuchać, miał zapas fantazyi nie lada; spojrział na Szymona przez ramię.

— Oto mi pan z panów, może da krajcara?

W podobny sposób zwykle dzieci cygańskie proponują słuchaczom datek.

Ale Petkó mniejszym był zuchem; przysunął się do ojca, pytając trwożliwie:

— Ojczaszku, kto to jest ten brzydki złośnik?

Paolo zezem z pod oka spojrział na Szymona i strojąc skrzypce, wzruszył ramionami:

— Nie znam tego pana. Jakiś tam pasażer.

Ale od „pasażera” odciągnęła naraz uwagę dzieci para nowych gości. Dostrzegły ich zdaleka; pan był wysoki, tego zbudowany, w sutej bundzie z karniolowemi guzami, połowica jego niższa znacznie, lecz bardzo otyła; niosła ona sobie kufelek żętycy i kilka obwarzanków z solą. Upatrywali stolika, przy którym mogliby wygodnie zasiąść.

Dwa małe urwisy wybiegły naprzeciw nim, po drodze już grając czardasza „Luizę”.

Pan aż przystanął, tak mu się podobali chłopcy, grający w podskokach, a pani ofiarowała Palkowi solankę.

A tymczasem Aranka w dalszym ciągu wypowiadała prelekcję swoją przyciszonym nieco głosem:

— I w jakiż to naiwny, dziki sposób dałeś się pan przyłapać wielkiej katastrofie wczorajszej. Przecież na tak wybitnem stanowisku, jakie zajmowałeś, powinieś był już dawno przedtem własną logiką, własnym nosem wietrzyć bliskość zmian, jakie były w pogotowiu. Nawet z pewnością dlatego właśnie zawezwano cię do Budzina, żeby cię o tem uprzedzić. A ty co? Zamiast stać na straży własnych interesów w sali obrad w namiestnictwie, nagle rzucaś wszystko, jak oparzony, powracasz do domu raptem na to, ażeby cofnąć pozwolenie na koncert! Doprawdy, nie wiem, jak nazwać taki postępek; chyba nagłym atakiem obłądu i szaleństwa! Może zażdrość powodowała panem: o kogo, o mnie i o tego kulawego Cygana?

— Et, pleciesz idyotycznie.

— Tylko dokładny opis idyotycznego czynu. Zamiast podczas gotującego się przewrotu stanu siedzieć w samem ognisku kuźni, gdzie zmiany te ubijano, wydajesz pan istną walkę z wiatrakami narodowym piosenkom niewinnym, fikaszkę przez smyk od skrzypiec i doczekujesz się tego, że pogoniono cię listem dymisyjnym!

Na to pomimo szczerej chęci Szymon nie mógł znaleźć odpowiedzi.

Nowi spacerowicze przybyli. Jakiś pan w cylindrze i wystrojona pani. Te osoby były już pięknie ucywilizowane, gdyż nie pani sama, lecz pan dźwigał dla niej wazkę z kwaśnem mlekiem.

Cyganięta, ujrzawszy ich, wybiegły naprzeciw nim, wygrywając skoczną „Vagabunden” polkę.

Ładnie ubrana pani ofiarowała Petkowi pierśnik, poczem razem z mężem odeszła trochę dalej.

Chłopcy z tryumfem powrócili do ojca, pokazując, co dostali.

— Ojczaszku, ojczaszku!—wołał jeden—zarobiłem sobie wyborną solankę!

— A ja piernik!—chwalił się drugi.

I wskoczyli obaj ojcu na kolana.

— Dam ci połowę mojej solanki — częstował Petko.

— A ja połowę mojego pierniczka—obiecywał Petko, poczem obaj jednocześnie starali się ojcu włożyć do ust przysmaki.

Paolo zaledwie z trudem zdołał im się obronić.

— Dajcież mi spokój, urwisy. Nie chcę solanki i piernika. Ani tego, ani tamtego nie lubię oddzielnie, a tembardziej razem. Poczęstujcie matkę.

Oba zuchy zwrócili się do Citery, która okazała się łaskawszą; spróbowała jednego i drugiego, zachowując przytem taką minę, jak gdyby nic równie wyśmienitego jeszcze w życiu swoim nie jadła. A co, jaki smaczny posiłek, własną pracą zdobyty!

Szymon z zazdrością spoglądał na rodzinę muzyka.

— Jaki on szczęśliwy, ten marny włóczęga!

— Już 7-ma dochodziła, a jakoś nie przybywali żadni nowi goście; nawet ta mała garstka, która była, zniknęła niebawem.

— Tak niewiele osób piło dziś żętycę, uskarżała się Citera; właśnie na pierwszy występ Palka i Petka!

— Acha, rozumiem dlaczego! — zawołał naraz Paolo, dłonią w czoło się bijąc. — Każdy wołał iść dziś do kawiarni na gazety. Nikt o maślanek dziś nie dba. Lepiej będzie pozbierać ztąd manatki.

— Poczekajmy jeszcze chwileczkę!
Niecierpliwiła się też i Aranka.

— Na co my tu właściwie czekamy jeszcze? Dlaczego zaraz nocą nie opuściliśmy miasta? Tak nam żal porzucić tę miłą siedzibę? Czy zamierzamy urzędowem posłuchaniem pożegnać tutejsze ciało urzędnicze? Może wypada poskładać wizyty pożegnalne naszym licznyim przyjaciółom? W każdym razie warto poczekać na owacę ze zgniłych jabłek, jaką nam niewątpliwie wyprawia nasi najżyczliwsi.

Szymon odparł przez ramię:

— Pani powinnaś wiedzieć, co nas tu jeszcze zatrzymuje; wszak mam dziś spotkanie.

Aranka cmoknęła ustami ironicznie.

— Ach, spotkanie, prawda. Ładna okazyja do zamydlenia oczu naiwnej publiczności. Dwóch bohaterów schodzi się wczesnym rankiem w lasku pod miastem. Przywożą z sobą doktora i świadków. Świadkowie czynią starania, żeby pogodzić zwaśnionych; to im się nie udaje. Więc biorą pistolety, dwie najlichsze pukawki, których fabrykant broni nikomu sprzedać nie zdołał. A i od nich jeszcze odejmują celownik. Następnie broń tę silnie nabijają, ażeby sama wyskoczyła w powietrze, wypaliwszy, i ustawiają obydwóch bohaterów o trzydzieści kroków odległości jednego od drugiego, każą im pozapinać surduty tuż pod samą brodę i kołnierze pozawijać na wewnątrz. Potem: raz, dwa, trzy! rozlegają się dwa wystrzały, i wybijają się dwie dziury w powietrzu. A panowie małżonkowie powracają do swoich małżonek i opiewają przed nimi efekownemi słowy chwałę własną, jak to za honor swój narażali życie. No, ale niestety, mnie takie kome-dye nie rozrzewniają.

Sarkazm ten, co prawda, nie był zbyt odpowiedni w ustach żony, mówiącej do męża.

Szymon, plecami odwrócony do Aranki, odparł na tę nową zaczepkę względnie z zimną krwią:

— Mylisz się pani tym razem. Warunki dzisiejszego pojedynku są: trzykrotna wymiana kul, baryera—dziesięć kroków.

Ale i to jakoś nie zaimponowało Arance.

— Ha, jeżeli warunki istotnie są tak ciężkie, to najpewniej komisarz policyi otrzymał już zawiadomienie, że będzie tu dziś pojedynek, ażeby zdążył w samą porę mu przeszkodzić.

To już była niegodziwość; do tego stopnia nawet żonie nie wolno być złośliwą, zwłaszcza, jeżeli nie ma słuszności.

Szymonowi wszystka krew do głowy uderzyła, poczerwieniało mu w oczach. Zerwał się z ławki, jak obłąkany i rzuciwszy się ku Paolowi, schwycił go za oba ramiona, wołając drżącym od wściekłości głosem:

— Człowieku, oddaj mi moją cygańską lepiankę! oddaj mi moją żonę, cyganek, i moje cyganięta! Oddaj mi moje skrzypce, które ukradłeś, przywłaszczycielu!

Citera na ten widok osłupiała. Bojaźliwy Petko ukrył się w fałdy jej spódnicy, a śmielszy Palko ujął kamyk, aby nim cisnąć w czoło Goliata, który na jego ojca się rzucił.

Sam Paolo jednakowoż zniósł dziwną tę zaczepkę z zupełnie zimną krwią.

Jaśnie wielmożny pan zaś w dalszym ciągu wylewał potoki swojej goryczy.

— I ruszaj, zkad cię wzięto! Tam jest twoje miejsce! Zabierz sobie moją rangę, moje tytuły, moje ordery! Weź sobie mój pałac wspaniały, moje ekwipaże. I twoją niech będzie na świat z urody słynna moja żona. Patrz, jak się do ciebie uśmiecha. Zamieniono nas — teraz my sami zamieńmy się napowrót!

„Zamieńmy się!...”

Teraz i Citera zrozumiała, o co chodzi.

Szymon aż się zadyszał z uniesienia.

Lecz Paolo Barkó odrzekł na jego interpelację z chłodnym i trzeźwym spokojem:

— O nie, mój panie łaskawy, nie dam się wziąć na to. Choćbyś światło księżyca zamienił w srebro, aby mnie niem obsypać, nie odprzedałbym ci za nic mojej żony cyganki! Chociażbyś z wszystkich tych słońca promieni ukuł złote dukaty, cyganiat moich nie oddałbym ci za nie! Ani gdybyś z gwiazd, któremi niebo utkane, brylanty uczynił—skrzypiec moich nie dostałbyś za ich cenę! Wychowano mnie na cygana — cyganem do śmierci zostanę. Z tobą zamieniać się — nie mam wcale ochoty.

Naraz na zakręcie alei dała się widzieć postać Zoltana Bårdy, który szedł ku stolikom i ławkom.

Szymon, ujrzawszy go, zostawił w spokoju cygana i powrócił, tłumiąc wzburzenie, na swoje miejsce.

— Czyś pan oszalał?—szepnęła Aranka.

Zoltan skierował się ku rodzinie Paola; ubrany był jeszcze tak samo, jak wczorajszego wieczora. Nie wstępował wcale do domu, przybywał prosto z bankietu. Inni zostali tam jeszcze.

— Dzień dobry, kochany Paolo!—zawołał hrabia zdaleka do artysty.

Paolo dbał o to, żeby dzieci były dobrze wychowane.

— Ucałujcie ręce chrzestnego waszego ojca.

Dwa urwisy tak głęboko wzięły do serca to napomnienie, że podbiegłszy do chrzestnego ojca, schwyciły go za ręce i po nich w mgnieniu oka wgramoliły mu się na plecy.

— To się nazywa ucałowaniem rąk? Wy dzikie koty jakieś!

Zoltan wziął obu na ręce i przywitał się z Paolem i Citerą.

— I moich synów chrzestnych przyprowadziliście tutaj? Czy i oni już grać umieją? Któryż Petko, a który Palko?

I postawił ich obu, jednego tuż obok drugiego.

Byli zupełnie jednakowego wzrostu.

— Ja sam nigdy nie umiem ich rozróżnić — odparł Paolo.—Obaj jednakowo czarni. Wiem tylko, że ten jest *primás*, a ten *kontrás*.

To mówiąc, prawą rękę położył na główce pierwszego, lewą na drugiego.

— A nieprawda, ojczaszku! — zaoponował ten z pod lewej ręki, Palko — bo to ja jestem *primásem*!

— Masz tobie. Znów się omyliłem.

Citera zapragnęła lepiej się popisać.

— No, już ja to panu hrabiemu objaśnię całkiem akuratnie. Ten, który swoją mateczkę lepiej kocha—jest Petkó.

Cóż, kiedy znów obaj chłopcy jednocześnie

wskoczyli jej na kolana, ściskając ją, pieszcząc i całując.

— A ten, który ojczyka bardziej kocha — to Palkó.

W mgnieniu oka oba zuchy wisiały już na szyi ojca.

— Ot, teraz to już wybornie rozumiem rzecz całą — zapewnił hrabia Zoltan uroczyście.

Paolo mruknął, uśmiechając się przebiegle:

— Przynajmniej, jak nadejdzie czas wojskowości, to w żaden sposób nie będą mogli odgadnąć, który z nich jest „popisowym.”

— Na jedno wyjdzie, bo przecież w każdym razie wykupimy.

(W owych czasach panował mądry obyczaj wykupywania młodzieży od wojska; kto zapłacił oznaczoną sumę, temu wolno było karabin w kukurydzę wrzucić. Niechaj broni kraju ten, który nie ma pieniędzy na uwolnienie się od służby w szereгах!)

Chłopcy mieli ochotę popisać się swoim talentem; chcąc wywołać zaproszenie, zaczęli dyskretnie, z cicha stroić skrzypce.

— Cóż to, Paolo, chcesz ich wychować na muzyków?

— Tak jest, ci dwaj muszą po ojcu objąć rzemiosło, aby, gdy umrze, miał kto przecież z muzyką odprowadzić go na cmentarz. Trzeci będzie księdzem. Czwarty — adwokatem; już dziś szelma z niego wielki. Piątego przeznaczam na żupana. Szósty będzie rektorem.

Citera, zarumieniona po białka oczów, szepnęła do ucha mężowi:

— Paolo, co ty pleciesz!

Szóstego chłopaka bowiem jeszcze nie było na świecie.

— Siódmy będzie kupcem.

Citera mimiką rąk i twarzy pokazywała, że mąż jej musiał stracić zmysły.

— Osmego oddam do wojska, ale do intendentury.

Citera załamywała ręce.

— Dziewiąty będzie kapitanem okrętu.

Zona zaczęła kłóć Paola pięścią w bok.

— Dziesiątego umieszczę przy kolei żelaznej.

Citera schwyliła Paola za kołnierz.

— Nie przestaniesz raz!?!—zawołała, jak tylko umiała najgroźniej.

Ale Paolo nie dał się zbić z tropu, w dalszym ciągu recytował litanie:

— Jedenasty będzie inżynierem.

Citera, naprawdę mocno zażenowana, uderzyła męża w plecy.

— Zwaryowałeś! oszalałeś! czy postradałeś rozum?

Paolo znosił zadawane mu cięgi z cierpliwością, która zresztą nie dziwiła nikogo.

— Dwunasty będzie chirurgiem.

Citera widząc, że sobie z mężem inaczej nie da rady, złapała go jedną ręką za czuprynę, drugą zasłoniła mu usta.

— Niedoczekanie twoje! Będziesz mi tu plótno trzy po trzy!

Paolo, nie broniąc się, przez zasłaniającą mu usta rękę starał się usprawiedliwić przed żoną:

— Dopiero do dwunastego dojechalismy, a gdzież

dwudziesty piąty? Przecież wtedy dopiero będziemy obchodzili nasze srebrne wesele.

Na to młoda kobieta, wielce rozgoryczona, z bardzo poważną miną stawiała mężowi okropny zarzut:

— To już nie pamiętasz, jak sam wylajałeś mnie za to, że o takich rzeczach rozmawiałam przy ludziach? Sam nauczyłeś mnie, że w towarzystwie nie wypada mówić o dzieciach, osobliwie zaś o tych, których jeszcze nie ma!

Paolo wzruszył ramionami, rozkładając ręce:

— Ha! Wówczas jeszcze byłem szanowanym artystą, chwałą, sławą i chlubą rodaków; dziś zaś jestem prostym grajkiem ulicznym, na którego każdy ma prawo zawołać: ty psie, cyganie!

.
.

...Owego „pewnego razu” tak się rzecz miała, że niezadługo po uwolnieniu Zoltana Bårdy z więzienia, gubernator miejscowy świetny wydał raut na swoich salonach; między innymi zaproszonymi gośćmi był tam także Paolo Barkó razem ze swoją żoną.

Nazwisko artysty krążyło z ust do ust, wszyscy podziwiali order, zdobiące jego pierś, lecz daleko więcej jeszcze urodę jego żony, tudzież brylandy i perły prawdziwe, jakimi jej toaleta jaśniała.

Baron Szymon nie ominął okazji nadszkiwania pięknej kobiecie — w sobie właściwy sposób.

— Piękna Citero! uroda pani rozwinęła się za granicą w iście egzotyczny, indyjski kwiat bujny!

— Imię moje cudzoziemcy wymawiali jak „Cithère.”

— I mieli słuszość. W ten sposób wymawiane brzmi jeszcze ponętniej. Jest to imię bogini, która w rzeczach miłości wszystkim innym kobietom za przykład była stawiana! Naprzykład, ten piękny naszyjnik z pereł mógłby niejedno ciekawe opowiedzieć o jakim bożku Marsie, który zstąpił z Olimpu na naszą ziemię — jedynie dzięki tobie, pani!

— O proszę bardzo. Naszyjnik ten kupił mi mój mąż w Paryżu, tak samo, jak i te brylantowe kolczyki.

— No, no! A dobrzy ludzie powiadają, iż jest to dar księcia de Morny.

Citera zrozumiała, o co chodzi panu baronowi; nie obraziła się jednak bynajmniej, lecz parsknęła śmiechem.

— Ha, ha, ha! Przecież ja wtedy właśnie „w Rzymie przebywałam.”

Damy, obecne w salonie, wstydliwie zasłoniły twarze wachlarzami, mężczyźni — zanosili się od śmiechu.

Citerę jednakże bynajmniej nie wprowadziło to w ambaras.

— Rzecz prosta, przecież wyjechaliśmy z kraju we dwoje, zaś wróciliśmy — we czworo. I cóż w tem zabawnego?

Paolo skinął na żonę znacząco.

— Nie mówi się o takich rzeczach w towa-

rzystwie, żoneczko; widzisz, zażenowałaś wszystkie panie.

— Dziwna rzecz, więc to, że byłam wierną żoną mojemu panu, że on obdarzył mnie ślicznymi kolczykami brylantowymi, a ja obdarzyłam go wzajemian dwoma chłopcami, ślicznymi, jak brylanty — to wstyd?

— To wstyd, kochaneczko.

— Ale gdybym była od księcia przyjmowała hołdy i drogie kamienie—to o tem możnaby mówić głośno, to zaszczyt?

— To zaszczyt, według mniemania wielkiego świata naszych salonów.

Szymon jął w dalszym ciągu przymilać się cygance.

— Ale weźmy sprawę naodwrot: jakże stoi wasz rachunek małżeński? Wszystkie gazety przepełnione były opisami tryumfów Paola Barkó. Damy entuzyazmowały się nim, zasypywały go buketami i wieńcami. Czy piękną Citerę nie dręczyła zazdrość?

— Oh, żonę artysty nigdy zazdrość nie dręczy. Gdy widzi, jak najpiękniejsze kobiety całego świata zachwycają się jej małżonkiem — przeciwnie, serce jej rośnie z radości. To tak przyjemnie czuć, że człowiek, za którym wszyscy szaleją, kocha prawdziwie tylko mnie, jedną jedyną!

— Zapewne, ale nużby też kiedy dostrzegła piękna żona artysty, iż mężowi jej głowę zawróciła jaka inna piękna kobieta?

— Nie zawiodłoby nas to bynajmniej na skargę do księdza, ani do sędziego. Gdyby mojemu mężowi trafiło się naprawdę coś podobnego, potra-

filabym mu sama głowę napowrót nakręcić we właściwe miejsce.

Słowa te uilustrowała Citera odpowiednim gestem.

— Boska naiwność! — westchnął Szymon, ujmując rączkę Citery. Ale prawda i to, że od takich prześlicznych rączyn przyjemnie człowiekowi być choćby wytuzowanym.

To mówiąc, ucałował obie ręce Citery wobec wszystkich.

Miał to być delikatny odwet za ów całus niegdyś, do którego Citera podstawiała Mangę.

Do tego to małego intermezza czyniła przytyk Citera, wyrzucając Paolowi jego zbytęcną gadatliwość wobec Zoltana.

Paolo gdyby znał łacinę, byłby był mógł odpowiedzieć żonie na to: *Quod licet Jovi, non licet bovi.*

.

Zoltan uściskał Paola za rękę i rzekł, poważniejąc nagle:

— Niechże będzie tak, jak umyśliłeś, drogi bracie. Tobie dostała się w udziale lepsza część życia. Gdybyśmy wszyscy żyli tak, jak ty żyjesz, silniejszym byłoby nasze plemię. Widzisz, naprzykład ja po sobie nie zostawię ni dużęgo, ni małego, ktoby mi zagrał na moim pogrzebie.

— Jeszcze nie pora o tem ani myśleć, ani mówić.

— Kto to wie. Być może, iż dziś właśnie stoję jedną nogą w grobie.

Na tle wschodzącego słońca zarysowały się sylwetki dwóch mężczyzn, nadchodzących w tę stronę od zakrętu drogi.

Ci nie nieśli sobie kufelków z żętycą, lecz jeden z nich miał w ręku walizkę podróżną.

Na ich widok Szymon zerwał się ze swego miejsca.

— Oto przekonasz się, że o mającym się tu odbyć pojedynku policya nie jest zawiadomiona.

— Gotowam na klęczkach przeprosić pana za to posądzenie.

Zbliżyli się panowie Ingoványi i Kalász.

I hrabia Zoltan spostrzegł ich przybycie.

— Bóg z tobą, drogi Paolo — rzekł, serdecznie całując artystę; żonę jego z szacunkiem za rękę uściśnął.

Paolo wyszeptał głęboko wzruszony:

— Pocałował mnie... może po raz ostatni!

Wiedział on już od Margi, w jakim celu ci czterej ludzie naznaczyli sobie tutaj spotkanie.

Dwaj panowie jednakże zauważywszy, iż jest tu obecna i żona Szymona Lenke, udali, jak gdyby wcale nie mieli do niego żadnego interesu. Ukłonili się obojgu obojętnie i odeszli dalej, rozmawiając o pogodzie i ubolewając srodze, iż tak wcześnie w tym roku nastały chłody jesienne.

Po kilku atoli minutach drogi w przeciwną stronę powrócili znów ku stolikom i ujrawszy, że Aranka wciąż jeszcze zajmuje miejsce na ławce, szybkim krokiem podeszli do Zoltana. Nie mieli już powodu skrywać, że sprowadziła ich tu urzędowa sprawa.

Dopełnili już rycerskiego obowiązku względem kobiety, zostawiając jej odpowiednią chwilę do oddalenia się, że nie skorzystała z tego, za to już nie mogą być odpowiedzialni.

— Dzień dobry, moi panowie — powitał ich Zoltan.

— Dzień dobry—odparli wesoło.

Kalászi spojrzał na zegarek.

— Stawiamy się punktualnie.

— Odejźmy gdzieindziej... — zaproponował Zoltan, zmrużonem okiem wskazując na stojącą Aranę.

Ingovanyi wzruszył ramionami.

— My to miejsce wybraliśmy na nasze spotkanie; jeżeli pan baron mimo to sprowadził tutaj swoją żonę—tem gorzej dla niego. Zresztą—sprawa ta cała nie przedstawia żadnej tajemnicy; i tak jutrzejsze gazety poranne rozgłoszą wszystko przed całym światem. Przedewszystkiem oznajmić musimy obu stronom interesowanym werdykt sądu honorowego, który brzmi następująco: „Ponieważ baron Szymon Lenke zaniedbał w zeszłym roku zażądać zadosyćuczynienia honorowego od człowieka, który złym językiem czci żony jego uwłoczył, przeto sąd honorowy tegoż barona Szymona Lenke uznaje za wyłączonego od praw korzystania z wszelkich satysfakcyj honorowych. Hrabia Zoltan Bárdy zatem nie jest obowiązany stawać z nim do pojedynku.”

— Czy wyrok ten dostaniemy i na piśmie? — zapytał Zoltan.

— Nie inaczej — odparł Ingovanyi, wręczając żadaną cedułę Zoltanowi, tudzież Szymonowi, który się tymczasem do rozmawiającej grupy przybliżył.—

Skutkiem tego—my z naszej strony uważamy zadanie nasze za ukończone.

Zoltan uważnie przeczytał podaną sobie cedulę...

Szymon podał swoją Arance.

Twarz Aranki powlókł rumieniec wstydu i bezsilnej wściekłości.

— Tego tylko brakowało do ostatecznego pohańbienia nas!—krzyknęła.

Szymon mniej się unosił; uważał jednak za odpowiednie przybrać wyraz najsroźszego oburzenia i oświadczyć melodramatycznie, iż tak to ofiarą uprzedzeń ogółu pada człowiek, który już niejednokrotnie umiał z orężem w ręku bronić swojego honoru.

— Nic innego, tylko zemsta polityczna! — oświadczył w końcu tonem zrezygnowanej boleści...

Lecz wzburzenie Aranki wznagało się.

— Gdybym ja była mężczyzną i mnie spotkała podobna zniewaga, schwyciłabym za nóż, i nim wymierzyłabym sobie sprawiedliwość na wrogu!...

Zoltan zniął w dłoni cedulę.

— Panowie — rzekł głosem spokojnym i stanowczym.—Ja nie przywiązuję żadnej wagi do tego werdyktu. Tego, który mnie wyzwał, uważam za człowieka honoru i nieskazitelnej odwagi. Jeżeli zatem on nie odstępuje od swojej pretensyi—w każdej chwili gotów mu jestem dać zadosyćuczynienie, którego zażądał.

— Na tych samych warunkach, jakie wpierw ustanowiliśmy?—zapytał Ingoványi.

— Tak jest. Trzykrotna wymiana kul, barye-

ra — dziesięć kroków. Ceduły przydadzą się na ładunek do pistoletów.

— Wolno panu, panie hrabio, czynić według uznania.

— Czynię to nie tyle przez wzgląd na tego pana, ile raczej na *tę panią*, którą podobna zniewaga obeszłaby zbyt silnie.

Aranka zacisnęła zęby.

— Jeszcze łaski mi wyświadcza! — szepnęła, tłumiąc gniew szalony.

Szymon osobliwie się zachowywał wobec szlachetnej propozycji Zoltana.

Ktoś złośliwy mógłby być przypuścić, że go wcale nie cieszy ten zwrot niespodziewany, gdyż wtrąca go napowrót w niebezpieczeństwo, z którego, już mniemał, że się tak gładko wyślizgnie.

Pan Ingoványi skłonił się lekko przed Zoltanem.

— W takim razie jednak ja — nie mogę służyć panu baronowi za świadka. Żegnam więc panów.

Obrócił się na pięcie, do nikogo więcej słowa nie przemówił i odszedł.

Szymonowi znów lekko zrobiło się na sercu, ale wiedział, że wypada się irytować.

— Tam do licha! Teraz znów sekundanta nie mam! — rzekł do Aranki.

— Więc stwórz go pan sobie, chociażby z pod ziemi! W ostateczności ja twoim świadkiem będę!...

— Nie przyjęte jest, żeby kobiety były sekundantami przy pojedynkach.

— Mogę polecić tu kogoś — rzekł Zoltan, zwracając się do swojego świadka. — Obecny tu

jest pan Paolo Barkó. Jest to gentleman niezależny, kawaler kilku zaszczytnych orderów. On mógłby służyć za sekundanta panu baronowi.

— Nie miałbym nic przeciwko temu—oświadczył pan Kalászi.

— Przyjmij go!... — szepnęła Aranka Szymonowi.

— Ja? Tego cygana?!

— Ordery nadały mu szlachectwo.

— No—więc dobrze. Przyjmuję.

Paolo skłonił się.

— Mogę być świadkiem pana barona, skoro panowie sobie tego życzyacie.

To rzekłszy, polecił Citerze, aby się oddaliła ztąd wraz z dziećmi.

Citera, Palko i Petko zniknęli po chwili za krzewami na zakręcie drogi.

Kalászi przystąpił do Aranki.

— Łaskawa pani, obecność twoja jest tu obecnie zbyt zbyteczną.

Aranka schwyciła Szymona za rękę, i szepnęła mu gwałtownie do ucha:

— Połóż trupem tego przekleśnika! Celuj w samo serce!

Cała nienawiść, jaką kiedykolwiek uczuwała do Zoltana, obudziła się w niej w tej chwili z szaloną potęgą.

Jego uważała za jedyne go sprawcę niedoli, dotykającej ją obecnie.

Wzięła szal i szybkim krokiem oddaliła się w stronę mleczarni.

Mężczyźni poczekali, aż umilkł odgłos jej kroków.

— Przyniosłeś pistolety?—zapytał Zoltan Kalaszi'ego.

— Są w tej walizie.

— Czas nabijać.

Nabijanie pistoletów odbywać się musiało w oczach obu stron interesowanych.

Powinien być wyłączony wszelki cień posądzenia, że jeden z pistoletów nie został nabity, albo że włożono w lufę którego z nich kulę zamałą w stosunku do kalibru, lub też ukreconą z wosku, i tylko ołowianym proszkiem zabarwioną na szaro.

Następnie jeszcze jedną maleńką formalność należało załatwić — skreślić kilka słów na dwóch karteczkach.

Zoltan zajął miejsce przy stoliku, za którym siedziała przed chwilą rodzina cygańska.

Wyjął z bocznej kieszeni notes i zaczął w nim pisać.

Był to testament.

„Na wypadek śmierci mojej zapisuję całego majątku mojego jedną połowę matce mojej, wdowie po baronie Wawrzyńcu Lenke, drugą zaś połowę—dzieciom ukochanego przyjaciela mojego, pana Pawła Barkó.”

Potem z tegoż notesu wydarł drugą kartkę i także kilka słów na niej napisał

Kalaszi przez ten czas odmierzył metę—dziesięć kroków—dużych, atletycznych.

Po obu końcach naznaczył je rozciągniętymi białymi chastkami od nosa.

To była baryera.

Od tych chustek jeszcze na obie strony po pięć kroków dalej dopiero stanąć mieli przeciwnicy naprzeciwko siebie.

Doktora nie zamówili.

Przy takich pojedynkach doktor bywa zbyteczny.

— Wszystko w porządku.

Zoltan wręczył Kalasziemu swój notes.

— W notesie tym znajdziesz mój testament—oddasz go mojej matce. Tu zaś jest zeznanie moje dla ciebie.

Kalaszi schował notes do kieszeni, z wyrwaną kartką zaś w rękę przystąpił do Szymona, który siedział nieopodal przy innym stoliku, pobladłą twarz zasłaniając dłonią.

— Panie baronie, ośmielam się prosić pana o wydanie mi podobnegoż świadectwa.

To mówiąc, położył rzeczoną kartkę na stole, przed Szymonem.

— Co to jest? — zapytał Szymon, któremu ćmiło się w oczach.

Pan Kalaszi, z wyszukaną grzecznością, wśród częstych ukłonów, dał baronowi żądane objaśnienie.

— Jest to rodzaj własnoręcznego zeznania, jakie składają w ręce sekundantów strony, stające do walki w takim pojedynku, którego wynik może być śmiertelnym. Tylko kilka słów—brzmi jak następuje: „Sprzykrzyło mi się życie, własną ręką przecinam jego pasmo. Niechaj Bóg zmiłuje się nad moją biedną duszą.”

— Na co to?

Pan Kalaszi był istnem wcieleniem uprzejmości — nie odmówił objaśnienia i na to drugie pytanie.

— Jest to prosta forma, przyjęta dla oszczędzenia przykrości, lub raczej ciężkiej nawet odpowiedzialności sekundantom. Wiadomo panu zapewne, jak surowo prawo austryackie karze pojedynki. Więc może pan raczysz nakreślić nam taką cedułkę; napisz pan słowo w słowo to samo, co napisał pan hrabia. Ot, te kilka słów, nic więcej. Wszystko jedno, można i ołówkiem. Kartkę taką włożymy do bocznej kieszeni tego, który padnie. Poczem zostawimy go na placu, dopóki go kto nie znajdzie. Tym sposobem sekundanci będą ocaleni; nikt nie będzie miał prawa pozywać ich przed sądy. Więc zechciejże pan — jeżeliś łaskaw. W taki to sposób wywodzimy w pole obrzydliwych Szwabów.

Krew krzepła w Szymonie na samo przypuszczenie podobnej ewentualności w stosunku do samego siebie.

Zostawia go tutaj, skrwawionego, na zeschłych liściach jesiennych, ze świadectwem samobójstwa w kieszeni. Dopóki go kto nie znajdzie, może nie-jeden dzień upłynąć, zanim kto przypadkiem nie natrafi na jego martwe zwłoki...

Nerwowy kurcz strachu pojawił się na jego twarzy.

Sekundant, daleki od przypuszczenia, ażeby się kto obawiał takiej bagateli, wziął ten kurcz za uśmiech nad dowcipnym sposobem oszukiwania szwabów, przyszła mu przeto ochota jeszcze lepiej nastrój humor przeciwnika swojego klienta.

— Tak jest, i nie dajmy się tak złapać, jak

się złapali sekundanci pana Seweryna R****. Pamiętali oni wprawdzie o zabezpieczeniu się cedulą samobójstwa i zostawili w lesie ciało swojego kolegi, który padł w pojedynku z tąż cedulą w kieszeni; cóż, kiedy przez oszczędność zabrali z sobą pistolet pojedynkowy, a wcisnęli mu w rękę starą jakąś krucicę, w której lufę—jak się następnie przy urzędowej obdukcji okazało, wcale nie mieściła się kula, wydobyta z ciała młodego nieboszczyka! Zaaresztowano ich rozumie się i dotychczas tkwią w ciupie. Niepojęta nieostrożność!

Nerwy Szymona bardziej jeszcze wstrząsnęła ta anegdota.

Jeszcze żarty stroją z nieboraka zamordowanego w pojedynku!

Sekundanci zostawiają go na pastwę wszelkiego przypadku, a sami uciekają, myśląc tylko o własnem bezpieczeństwie.

A jeżeli nieszczęśliwy jeszcze żyje? Jeżeli można byłoby go jeszcze uratować?... O iluż to ludziach wspominają nieraz, że chociaż ich kula przeszłyje—żyją mimo to i odzyskują zdrowie?

Lecz obawy okazywać nie wolno.

Drżącą ręką napisał żądane świadectwo, wydarł kartkę z notesu i podał ją sekundantowi.

Ten podziękował mu za to pięknie po francuzku „*merci!*”

I schował obie ceduły do kieszeni.

To załatwiwszy, powrócił do swego klienta.

Zoltan był zagłębiany w czytaniu gazety porannej. Przyniósł ją tu z sobą.

Bardzo był zadowolony z Ollosi'ego; artykuł o kwestyi drażliwej opuszczono w felietonie. Za to nie brakowało wielu innych, zajmujących artyku-

łów—zwłaszcza telegramy z Budzina i Wiednia budziły mocną sensację. (Kolei żelaznych bowiem nie było jeszcze w kraju, lecz posiadaliśmy już telegrafy elektryczne).

Kalászi zaczął czekać chwilę, dopóki Zoltan nie przejrzy dziennika.

Okrucieństwem przecież byłoby kazać człowiekowi iść na śmierć, nie pozwoliwszy mu nawet upoić przedtem ducha ostatnimi nowinami publicznemi.

— Paweł Sennyei mianowany podskarbis! Miłojay Vay—kanclerzem!

Czyż wielkie te wiadomości nie były godne, ażeby dla nich opóźniono o jakie dziesięć minut podróż na tamten świat?

Ale te dziesięć minut wystarczyły na to, ażeby Szymonowi ducha rozbić do reszty.

Siedział jak skamieniały, bez ruchu; gra rysów jego twarzy wymownie zdradzała, co się z nim dzieje, jakie straszne, splątane wizye harują mu w mózgu.

Oczy miał otworzone szeroko, źrenice bezmyślnie wlepione w zieleń pobliskich krzewów, powieki nabrzmiały mu i opuchły. Na skroniach żyły tętniły mu przyspieszonym krwi biegiem. Pożółkłą twarz jego ściągał kurczowy grymas błędnego jakiegoś uśmiechu.

Co mu się tam w duszy działo? Co męczyło jego nerwy? Co gnało tak krew w jego żyłach.

Niezwalczona obawa śmierci. I to jakiej śmierci? Wyobraźnia ukazywała mu kulę, prosto w oczy jego lecącą, niby podrażniona osa. Jak gdyby kto złym urokiem go oczarował.

Cała jego istota burzyła się przeciw temu,

co go obecnie mogło spotkać. Umierać — za co? dlaczego?

Dla kaprysu tych panów wykwintnych, którzy przed nim stoją, a którzy odtrącili go od siebie, jak resztkę wypalonego cygara. Skopali go nogami, stratowali.

I jeszcze dlaczego?

Dlatego, że ten człowiek oto—dawniej brat jego—ubliżył mu obelżywym słowem. Ale czyż słowa takie nikt inny, tylko on jeden wyrzekł? Czyż nie obrzucał go wyrazami wzdargy cały motłoch uliczny? Tysiące wrzały przeciwko niemu! Nie jednym, nędznym pistoletem, lecz potokami kartaczo-
wego ognia, armatami należałoby uzyskać zado-
syćuczynienie od tych tłumów, od całej, nienawiścią
ku niemu dyszącej publiczności! Podkop zrobić
pod teatrem i wszystkich w powietrze wysadzić,
razem z muzykantem!

I jeszcze dlaczego musi umrzeć? Za tego
grajka. Ze bezwiednie miejsce jego zajął. Wszyscy
byliby woleli tamtego mieć przy sobie, i siwa baro-
nowa i piękna baronowa...

Jak ona się śmiać i szydzić z niego będzie,
gdy on padnie martwy!...

W uszach mu dzwoniło, a przed oczyma tań-
cował cały świat dziwnych, potwornych widziadeł.

Z chaosu tego wynurzyła się postać artysty,
zbliżył się i stanął tuż przed nim.

W ręku trzymał dwa pistolety, lufami w prze-
ciwną stronę zwrócone.

— Służę panu. Pan masz prawo wyboru.

Aha. To sekundant.

Machinalnie położył rękę na jednym z pisto-
letów.

Sekundant zakrył mu „ojcobójczy” jego, wykrochmalony kołnierzyk, czarnym krawatem.

Pozwalał ze sobą robić wszystko, nie pytając o powody.

Przy klapie surduta czerwieniła mu się wstążeczka orderowa.

Kazano mu ją odrzucić.

Strona pojedynkująca się dla własnego dobra nie powinna mieć na sobie nic jaskrawego, ani błyszczącego.

Drugi sekundant o to samo przestrzegał swojego klienta.

— Zapnij attyle, Zoltanie, wygląda z pod niej biała kamizelka.

— Pal licha, lepiej zupełnie ją rozepnę, niech ma cel wyraźny.

I rozpiąwszy dolman od góry do dołu, rozrzucił szeroko jego wyłogi, tak, że kamizelka bieląła zdaleka istotnie jak tarcza celowa.

— Panowie, zajmijcie miejsca — rzekł Kalâshi. Trzy razy klasnę w dłonie, po trzeciem kłaśnięciu — celować i strzelać. O wyborze miejsca niech los stanowi.

Wyjął z kieszeni guldena srebrnego.

— Orzeł, czy reszka? — zapytał barona.

— Reszka!

Wyrzucony w górę pieniądz upadł na stronę napisu.

— Baron w cieniu — hrabia w słońcu.

Szymonowi dostał się korzystniejszy posternek, plecami do słońca, gdy Zoltan musiał stanąć pod słońce.

— Proszę zająć miejsca. Jeżeli który z pa-

nów chce, może podczas klaskania dojść do baryery.

Szymonowi trzeba było pokazać, gdzie jest jego miejsce. Właśnie obok stolika, za którym siedziała poprzednio rodzina cygańska.

Jaka daleka droga wiodła do niego.

Zupełnie, jak gdyby za każdym krokiem przesłakiwać musiał przez mogiłę.

Szeptał sam do siebie:

— Kazała mi wymierzyć w serce tego przekletnika... A jeżeli on w moje serce wymierzy! Czemu tak gwałtownie bije to głupie serce? Dlaczego mi broń drży w ręku?... Co tak huczy w mojej głowie? Boję się. A wczoraj *mnie* się bano. Jestem dzieckiem zamienionem. Więc ja—to nie ja? To czemuż ja się tak boję—kiedy nie o mnie idzie?... Nie, to nie ja się boję. O mnie się nikt nie boi. Nawet stara cyganicha. Przeklęła mnie! „Niech będzie błogosławiona ręka, która twoją czarną krew przeleje!”

Twarz jego skurczył naraz uśmiech szalony; jął mówić półgłosem:

— „Czarną krew” moją?... Prawda! Wszak w żyłach moich czarna — nie błękitna krew płynie!

Zaniósł się od śmiechu.

Hahaha... Czarną mam krew, nie błękitną!

Wzrok jego zatrzymał się na pewnym przedmiocie. Na stoliku leżały skrzypce Paola; przypadł do nich, pistolet odrzucił daleko, a za nie schwytał i za smyczek, i bezładnie szarpać począł struny, zachrypłym, fałszywym dyszkantem przyśpiewując zasłyszana poprzednio piosenkę:

„Namiot pięknej cyganeczki
Zajął się płomieniem,

Splonął w nim sam wojewoda,
Tudzież jego córka
Ihajja, Ihajja!"

Naraz skrzypce wraz ze smyczkiem pod pachę wsunął, i zdjawszy kapelusz, podbiegł ku stojącym nieopodal panom, przyglądającym się ze zdziwieniem temu, co on czyni.

— Jaśni panowie... proszę co łaska... pięcioro głodnych dzieci mam w domu...

Zoltan pobladł.

— Ten człowiek zwaryował!—wykrzyknął.

Obaj sekundanci schwycili miotającego się bezprzytomnie Szymona pod rękę.

Lecz wydarł im się i w dalszym ciągu jął targać struny skrzypiec.

Aranka wszystko to widziała i słyszała.

Do tego stopnia twarde serce miała, że oddalwszy się napozór, wróciła i śledziła z po za krzaków, co się tu dzieje. Pragnęła śmierci Zoltana, i chciała widzieć jak go zabijają.

Natomiast ujrzała, jak mąż jej zwaryował.

Szymon grał i śpiewał:

"Wojewody nie żałuję,
Ale żal mi córki:
Nóżki w krasnych pantofelkach
Podbijały... podbijały..."

Ustał naraz i bezmyślnie zapatrzył się w przestrzeń.

Aranka, zapominając o tem, że jej tu być nie powinno, przypadła do niego, nie tając przerażenia.

Szymon, ujrzawszy ją, parsknął długim, niepo-

hamowanym śmiechem, wskazując na nią smyczkiem, jakgdyby ten wybuch dobrego humoru—ona wywołała. Hahahaha!...

Aranka szalem twarz zasłoniła, ażeby sobie oszczędzić przykrego widoku.

Lecz dłoń Zoltana ujęła jej rękę, jak w żelazne kleszcze.

— Twoje to dzieło, pani, dlaczego nie chcesz mu się napatrzeć do syta?

K O N I E C.

OD REDAKCYI.

Pani Julii K w Sokołowie. Listu Szanownej Pani nie otrzymaliśmy i ztąd powstała zwłoka z posłaniem manuskryptu do Kijowa.

Panu A. Kos. Codziennie w redakcyi między 10—12 przed południem, oprócz świąt.

Panu C. w Mińsku. Praca Szanownego Pana będzie wkrótce drukowaną w „Bibliotece,” obecnie przygotowujemy ilustracye.

Anieli. Wymienione prace przez Sz. Panią nie będą drukowane w „Bibliotece,” a przynajmniej nie w blizkim czasie.

P. L. M. Prosimy o nadesłanie. Serdecznie dziękujemy za życzliwość dla naszego wydawnictwa.





